

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 31 grudnia 1904 r. Nr. 1.

Hr. Montignoso odtrącona od własnych dzieci.



(Do artykułu na str. 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Hr. Montignoso odtrącona od własnych dzieci: Hr. Luiza Montignoso, b. małżonka Fryderyka III, króla saskiego.



Hr. Montignoso odtrącona od własnych dzieci: Fryderyk August III król saski.

Od Wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Abonentów prosimy o łaskawe rychłe nadesłanie przedpłaty a to celem uregulowania nakładu wydawnictwa.

Wszyscy nowo przystępujący abonenci, którzy nadeślą prenumeratę na cały rok z góry — otrzymają gratis początek wszystkich trzech powieści: „Kwiat nędzy“, „Wiarołomna żona“ i „Lueger w Kołomyi“.

Nowi Abonenci, którzy nadeślą prenumeratę za pół roku z góry, otrzymają wszystkie trzy powieści za dopłatą 1 korony.

Nowo przystępujący zaś abonenci, którzy nadeślą kwartalną prenumeratę, otrzymają początek wszystkich tych trzech powieści za nadesłaniem kwoty 1 kor. 50 hal.

Równocześnie na liczne zapytania donosimy, iż egzemplarze naszego pisma za kwartał ubiegły są kompletnie wyczerpane.

Administracya.

Hr. Montignoso odtrącona od własnych dzieci.

Minęły te „dobre stare czasy“, kiedy ludzie, których przypadek urodzenia lub szczęśliwy los postawił na piedestale tronu, z pogardą spoglądali na ten tłum, na „ulicę“ a dzięki jej pobierali jednak tłuste apanaże i uwielbienie ludzi, stojących zdala „tronów“... Historya, a więcej jeszcze skandaliczne „historyjki“ tronów, odebrały wiele z owego nimbu, z owej sztucznej aureoli, podobnej do jaskrawych, a prędko gasnących ogni bengalskich — na skroniach „panujących“.

Przekonano się, że tesame słabostki nurtują duszę wybranych i tesame namiętności wstrząsają mózgiem i nerwami „władców ludu“ — co i zwyczajnego robotnika, w krwawym czoła pocie pracującego na swój chleb powszedni. Nowsze dzieje głów koronowanych wykazały pewne niedokładności w układzie ich nerwów i zwojów mózgowych. Nazywano to „psychozą“. I widzieliśmy na tronie ludzi bawiących się w poetów, a nie mających pojęcia o obowiązkach panującego; widzieliśmy mistyczne, jakby z średnich wieków wzięte postacie i ludzi ginących dla ukochanej kobiety. To jednak, co się obecnie dzieje w Dreźnie, w stolicy królestwa saskiego, urąga już nietylko zdrowemu rozsądkowi, ale wprost poczuciu chrześciańskiego miłosierdzia.

Biedna — chociaż upadła istota — matka dzieci tęskni do domu, do uścisku najmłodszych latorośli swych. W drodze prawniczo-dyplomatycznej błaga



Morderstwo czy samobójstwo: Magdalena de Bruyn, zamężna adwokatowa Ménard, pasierbica zmarłego Syvetona.

niezczułego męża, aby przecież choć raz w rok mogła uścisnąć i przytulić do macierzyńskiego łona swe dzieci.

Spotkała się jednak z krótką, ale stanowczą odpowiedzią — odpowiedzią nawet nie już bezlitosną, ale wprost nieludzką: „nie wolno“...

Wtedy postanawia eks-królowa ryzykowny krok. Udaje się do Lipska, do swojego zastępcy prawnego adwokata dra Sehme, gdzie po długiej konferencyi przyszła do jednego przekonania: że wbrew rozsądnym a chłodnym perswazyom swego przyjaciela, uznając zresztą całą prawniczą trafność jego uwag — nie może pęt nakładać sercu macierzyńskiemu, stęsknionemu za widokiem dziatwy.

Postanowienie przybrała wnet w formę czynu. I było Drezno widownią brutalnej sceny:

Dnia 22 grudnia zjawiła się hrabina Montignoso przed bramą pałacu królewskiego. W zawoluowanej damie, niosącej pod ramieniem kilka skromnych zawiniątek, nie poznałby nikt dawnej lubianej powszechnie królowej. Był jednak ktoś, kto czujnem okiem śledził wszystko, co się działo pod królewskim pałacem. Był nim komisarz policyi, który poparty zbrojną siłą żandarmów dworskich, pilnował wrót pałacu.

Z chwilą, gdy eks-królowa usiłowała — z pominięciem wszelkich przepisanych formalności — utorować sobie wstęp do westibulu, urzędnik policyjny zatrzymał ją, a odchyliwszy welon — poznał w obcej nieznajomej swoją byłą królowę.

W tej chwili przystąpiła straż pałacowa — żandarmi dworscy i *par force* wziąwszy pod ramię hrabinę zawiedli ją do najbliższej dorożki. W ich asystencyi odwieziono byłą królową do hotelu, w którym stała, a następnie polecono jej, aby w przeciągu 24 godzin Drezno opuściła.

Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, w której uzbrojeni żandarmi odtrącają nieszczęśliwą kobietę od wrót pałacu.

Wybuch gazów w Borysławiu.

Kronika katastrof i to głównie katastrof, spowodowanych lekkomyślnością, lub nieostrożnością, przy schyłku bieżącego roku staje się niestety coraz bogatszą. Jęki ofiar tych smutnych wydarzeń coraz częściej rozbrzmiewają w powietrzu; coraz to częściej w kir żałobny stroją się całe rodziny,



Fot. O. Schnepf. Drohobycz.

Wybuch gazów w Borysławiu: Dom przy ulicy Kościuszki, w którym mieści się traktyernia M. Maciczki, zniszczony przez wybuch gazów.



Morderstwo czy samobójstwo?: Wdowa de Bruyn, następnie żona deputowanego Syvetona ze swoją córką Magdaleną de Bruyn.

opłakując stratę swych najukochańszych... — Niedawno temu galicyjska Klondyke, miasto wież wiertniczych i szybów kopalnianych — Borysław — było widownią strasznej takiej katastrofy, spowodowanej przez wybuch gazów.

W ulicy Kościuszki wznosi się skromny domek, a raczej barak, mieszczący restauracyę M. Maciczki. Rury gazowe, w których sieć cały niemal Borysław jest spowity, przechodziły przez piwnicę tego domu i prowadziły aż do szybu „Siuga“. Rury założone od dawna, powoli zostały przeżarte przez gaz, ale z mieszkańców domu nikt o tem nie wiedział, nikt nawet nie przypuszczał, że stąpa po wulkanie, który lada chwila może wybuchnąć, szerząc dokoła śmierć i zniszczenie.

Katastrofa więc nastąpiła najniespodziewaniej i w skutkach była przerażająca.

Właściciel trakteryni M. Maciczka, potrzebując pewnego wieczoru czegoś z piwnicy, posłał tam służącą, która nie mając nawet pojęcia, że idzie na pewną śmierć, udała się do piwnicy z gorejącym ogarkiem.

Zaledwie jednak otworzyła drzwi piwniczne, nagromadzone w znacznej ilości gazy zajęły się od świeczki i natychmiast nastąpiła eksplozya. Przerażający huk wstrząsnął powietrzem; dom cały zadrżał w posadach i część jego w jednej chwili runęła w gruzy, niby wysadzona dynamitem. Gdy sąsiedzi zbiegli się na ratunek, pięć osób broczyło we krwi wśród stosów belek i rumowiska. Mimo szybkiej pomocy lekarskiej dwie ofiary katastrofy po krótkich, ale strasznych cierpieniach wyzionęły ducha. Trzy inne ofiary tego strasznego wypadku do dziś dnia jęczą jeszcze w szpitalu borysławskim, walcząc ze śmiercią.

Oprócz tego jest jeszcze kilka osób, które na szczęście i cudem prawie odniosły tylko lżejsze okaleczenia.

Jak zwykle szuka się teraz winnych, a wskazać ich nie trudno, bo przecież musiał być ktoś, na kim ciążył obowiązek kontrolowania stanu rur gazowych i ten za zaniedbanie swych obowiązków powinien odpowiadać, tem więcej, że podobny wybuch gazów nie po raz pierwszy zdarzył się już w Borysławiu!...

Morderstwo czy samobójstwo?

Nagły zgon deputowanego Syvetona, zgon, który nastąpił bezpośrednio prawie po awanturze, jaką ten nacyonalistyczny deputowany urządził b. ministrowi wojny Andre'emu, przez co zmusił go do złożenia piastowanej godności, wywołał liczne komentarze i sprawiedliwości dał do rozwiązania zagadkę, skrystalizowaną w trzech słowach: „morderstwo czy samobójstwo“?

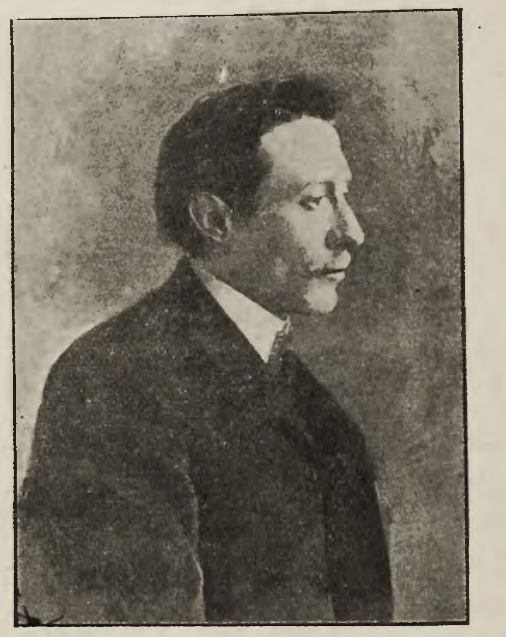
Nacyonalistyczne dzienniki francuskie twierdzą, że Syveton padł ofiarą morderstwa, pisma republikańskie głoszą przekonanie, że deputowany ten zakończył życie samobójstwem.

Sprawiedliwość dąży do rozwikłania tej tajemniczej sprawy, a dzienniki snują na ten temat całe stosy różnorodnych wersyi i przypuszczeń. Więc według zdania jednych pism, Syveton został zamordowany, ponieważ zapowiadał, że w procesie swym o znieważenie, ministra poczyni rewelacye, które grubo zaszkodzą byłemu ministrowi i obecnemu rządowi. Inne wersye wspominają znów, że Syveton miał się dopuścić zbrodni gwałtu na swojej pasierbicy pannie de Bruyn obecnej żonie adwokata de Menarda i gdy sprawa ta wyszła na jaw, a żona zagroziła mu skandalem, sam sobie życie odebrał.

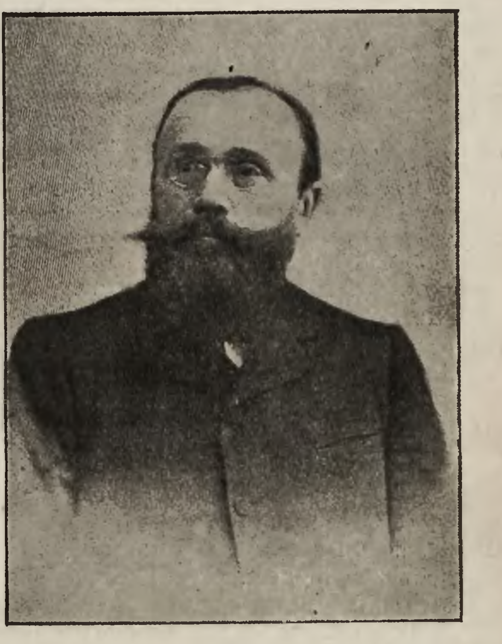
W obronie zmarłego wystąpił stanowczo szwagier Syvetona Barnay, który udowadnia, że obecna pani de Menard jeszcze jako piętnastoletni podlotek wystąpiła raz przeciw Syvetonowi z tym samym ciężkim zarzutem, ale już wówczas badania lekarskie wykazały, że zarzut ten był wypływem histeryi połączonej z halucynacyami, na jaką dziewczę od wczesnej młodości cierpiało.

Ale nie brak i innych pogłosek. Pisma nieprzyjazne nacyonalistom wspominają o różnych innych występkach zmarłego przeciw moralności, a wspominają też i o tem, jakoby miał się on dopuścić jakichś defraudacyi. Ten ostatni zarzucił ściśle nie określony nie spotyka się z wiarą u ogółu publiczności. Natomiast najnowsza wersya o śmierci Sywetona pełna tajemniczości o barwie silnie senzacyjnej, wzbudziła w całej Francyi i poza jej granicami ogromne zainteresowanie.

Oto podobno sędzia śledczy wykrył, że pani Syweton obracała się w kołach tych dam, które wysoko asekurowanym mężom swym ułatwiały śmierć aby potem swobodnie korzystać z „zarobionych“ w tak straszny sposób pieniędzy. Kilka z tych dam sądy ukarały przykładnie, udowodniwszy wprzód ich winę. Otóż obecnie zwrócono uwagę na to, że pani Syveton żyła z tymi paniami w stosunkach bardzo ścisłej przyjaźni. Podobno nagłą i dziwną śmiercią miał skończyć pierwszy mąż pani Syveton de Bruyn, który był ubezpieczony na znaczną sumę. Po śmierci jego, pani de Bruyn, odziedziczywszy spory majątek, przeniosła się z prowincyi, gdzie wprzód mieszkała, do Paryża i tu niebawem poślubiła Syvetona, przed którym słała się bardzo piękna karyera. I Syveton był wysoko asekurowany — wyciągnięto więc wniosek, że śmierć jego jest zbrodniczym dziełem pani de Bruyn-Syveton.



Morderstwo czy samobójstwo?: Adwokat M. A. Ménard zięć wdowy Syveton.



Morderstwo czy samobójstwo?: Dr. Barnay, szwagier zmarłego tajemniczo deputowanego G. Syvetona.

Gdyby ta pogłoska okazała się prawdziwą, pamięć Syvetona zostałaby oczyszczona z ciężkich zarzutów, jakimi go obarczają wolnomularskie pisma.



Fot. O. Schnepf. Drohobycz.

Wybuch gazów w Borysławiu: Grupa osób, które odniosły lżejsze i cięższe okaleczenia podczas wybuchu gazów w trakteryni M. Maciczki przy ul. Kościuszki.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

13 (Ciąg dalszy).

Kobieta, która to mówiła, była sklepiczarką z sąsiedniego domu. Dwoje tłustych i ciepło odzianych dzieciaczków wisiało u jej spódnicy. Piotruś zbliżył się do niej.

— Czy pani nie wstyd, że tyle przykrości nagadałaś biednemu chłopcu? — Wskazał na bębny uwieszone u jej spódnicy. — Czy to pani mikrusy?

— Pierwej Boskie, a potem moje.

— Nie może być?! Gdybyś pani była matką, miałabyś litość dla wszystkiego, co małe i słabe. Mój kamrat umknął przed panią, bo jest nieśmiały, lecz ja pozostałem, żeby powiedzieć pani szczerze, co o niej myślę.

— Patrzcie, patrzcie! jaki kaznodzieja... Ależ ja ciebie skądsiś znam...

— Być może. Jestem, jak ów ptaszek, siadający na różnych podwórkach. Mogła mnie pani gdzieś już widzieć.

— Byłeś tu rano ze swoim pryncypałem...

— Niezawodnie. Wybieraliśmy najdogodniejszy plac do sprzedawania pomarańcz i figurek.

— Jakże wam poszedł dziś handelek?

— Pod psem, pani dobrodziejko... pod pieseczkiem! Nie sprzedaliśmy dziś ani za jedną dyseczkę. Jak wrócimy do budy, dostaniemy po skórze i pójdziemy spać o głodzie, a Kwiat-Nędzy, zmartwiony pani przygryzkami, gotów rzucić się do przerębla na Wiśle, bo on żebrać nie chce, ani nie umie.

Dobroduszna kobiecina spojrzała na piorunującego malca nie bez wzruszenia.

— No, no, żal mi was biedne mikrusy. Sięgnęła do kieszeni w fartuchu, wyjęła z niej garść miedziaków i wyciągnęła rękę do Pietrka. — Masz, weź! podziel się po połowie ze swoim kolegą.

— Dziękuję pani, ale my nie żebracy... Zwrócił się do Janka.

— Hola! pójdź sam tu chłopak i podaj zacnej pani dziesięć najpiękniejszych pomarańcz.

Uszczęśliwiony obrotem, jaki sprawa wzięła, rzekł do towarzysza:

— Mój drogi, nie należy wszystkiego, co ludzie plotą, brać zaraz do serca. Często ty i ja palniemy coś prosto z mostu, o czem nie myślimy. Otóż ta pani żałuje, że ci przykrość sprawiła.

— Ma się rozumieć, że żałuję. Znam ja biedę nie z widzenia tylko... i u mnie nieraz się nie przelewa. Bóg z wami chłopaki!

Pogłaskała jednego i drugiego po twarzy i odeszła, ciągnąc za rączki, opierające się dzieci.

Gromadka ludzi, stojąca przed domem Piotra Molskiego, znudzona oczekiwaniem, nie widząc nic, na coby się pogapić było warto, rozprysła się powoli w różne strony. Pozostali tylko: Pietrek i Janek, przemarznięci do kości i szczękający od zimna zębami.

Wtem, wspaniała kareta — zdaje się, że ostatnia z kolei — zatrzymała się przed drzwiami. Lokaj zeskoczył z kozła, aby podać rękę wysiadającej pani, otulonej sobolowem futrem, z pod którego wysuwał się czarny „tren“ żałobnej sukni. Chłopcy podbiegli; jeden wołając: *“Belle... belle figurine“*, drugi z koszem pomarańcz. Lecz młoda dama nie spojrzała na nich nawet i żwawo wbiegła w otwierające się przed nią podwoje.

— Nie łaskawa na biedaków! — rzekł Piotruś. Nie podoba mi się jej pycha!

— A jednak bardzo ładna — szepnął Kwiat-Nędzy.

— Masz zły gust, mój stary.

— Co prawda, nie przyjrzałem się jej dobrze... tak prędko śmignęła przed oczami — odparł Janek tonem pełnym słodyczy.

Hrabina Jelska — była to bowiem ona — pomimo opozycyi ze strony Kazimierza, postanowiła udać się na ulicę Długą i pokazać się wyborowemu towarzystwu, biorącemu udział w arystokratycznej „wencie“, o której w Warszawie mówiono już od paru tygodni.

— Będę dziś w domu twojego ojca — rzekła do młodzieńca, widząc się z nim u siebie z rana.

— Po co?... Na wszystko cię proszę, nie rób tego, byłaby to bowiem czelność niesłychana!

— W życiu, mój drogi, trzeba nieraz być czelną z konieczności. Gdybym się na „wencie“ nie ukazała, coby sobie o mnie pomyślano w naszym świecie?

— Błagam cię, nie jedź!

— Co postanowiłam, zrobię. Mówiłam moim znajomym, że będę.... więc, być muszę. Nie umiem cofać się... nawet przed niebezpieczeństwem.

Rozeszli się markotni i nadąsani, naznaczywszy sobie spotkanie na obiedzie, zamówionym przez Kazimierza w Marcelinie, do którego z powodu zimy rzadko kto obecnie uczęszczał. Mogli więc być spokojni, że ułożonego *rendez-vous* nikt im nie zakłóci.

Hrabina Jelska weszła na salę „wenty“ spokojna i dumna, jak zawsze. Już przy drzwiach otoczyli ją mężczyźni i parę młodych dam, zajmujących niższe stanowiska w hierarchii wielkoświatowej. Eugenia spostrzegłszy ją, drgnęła całem ciałem.

— Ta kobieta tu!... Kochanka mego brata u mnie!... a dobroczynny cel zebrania nie pozwala mi jej wypędzić! — myślała, przyciskając dłonie do piersi, jakby dla uciszenia zdwojonego tętna, jakiem serce jej bić zaczęło.

Marcelina przesuwała się powoli od stołu do stołu, kupując wszystko, na co tylko sprzedające panie zwróciły jej uwagę. W ten sposób doszła do kramu, za którym siedziała panna Molska. Z początku nie zamieniły ani słówka. Hrabina czuła jednak, że wzrok Geni, podobny do przeszywającego spojrzenia Piotra Molskiego, zatrzymał się na niej. Trzeba było coś powiedzieć, więc wzięła w ręce śliczną statuetkę bronzową, przedstawiającą Stańczyka i przyjrzawszy się jej, rzekła:

— Pani pewno nie oczekiwała moich odwiedzin?

Eugenia skinęła głową.

— Chciałam sama, osobiście przynieść mój grosz wdowi — mówiła dalej Marcelina. — To, co przed panią stoi na stole, jest tak piękne, z tak głęboką znajomością artystycznej wartości przedmiotów nabyte, że wybierać nie myślę. Racz z łaski swojej posłać wszystko na ulicę Wiejską, numer ósmy, pod który niedawno się przeniosłam. Kupię cały kram. Ile będę jej dłużną?

— Dziesięć tysięcy rubli.

— Nie mam przy sobie takiej kwoty, lecz rządca mój jutro ją pani przyniesie.

— A ubodzy błogosławić panią będą. Liczba ich, w ciągu tegorocznej, srogiej zimy, zwiększyła się znacznie. Są między nimi wstydzący się żebrać i prosić o litość... naprzykład rodzina doktora Marcina Żarskiego...

Marcelina zbladła.

— Pani prawdopodobnie ich nie zna — ciągnęła Genia drżącym od wzruszenia głosem — lecz ja znam całą gromadkę od dość dawna. Oddawna również miałam sposobność ocenić charakter doktora Żarskiego, wysłanego na Sybir. Chociaż niewinny, skazany został na dożywotnie ciężkie roboty w kopalniach, cierpi więc teraz za osobę, która pomimo, że popełniła zbrodnię, zdołała się wyśliznąć z rąk karzącej sprawiedliwości. Po wyroku, wiele... bardzo wiele klęsk ciężkiem brzemieniem niedoli przygniotło tych, których kochał i na których pracował. Żona umarła w szpitalu, pozostawiając trzy sieroty. Najstarsze z dzieci, chłopiec, liczący około lat dwunastu, zniknął niespodzianie. Nie zdołano go dotąd odszukać. Ślepa matka skazanego, wraz z wnuczkami cierpi niedostatek i walczy ciągle z nędzą. Ach, pani! zaprawdę nie chciałabym być przyczyną tych nieszczęść!

— Wszakże to ojciec pani wydał Żarskiego sądowi, ojciec jej zatem jest poniekąd sprawcą niedoli jego rodziny — rzekła Marcelina spokojnie i chłodno.

Eugenia spuściła oczy, wzbierające łzami.

— Mój ojciec mógł się pomylić... sędziowie nieomylnymi nie są... i oni ślepną niekiedy...

— Dziwię się jednak, że pani, córka sędziego, podnosi bunt przeciw wymiarowi sprawiedliwości — odparła hrabina z ironicznym uśmiechem.

— Mówię, co myślę.

— Zdaje mi się, że to źle. Nadmiar szczerości zwykle szkodę przynosi.

— Nie pani, nie! — szepnęła Eugenia cichutko, ale z widocznem nerwowem rozdrażnieniem, zbliżając się do hrabiny tak, że suknie ich dotykały się prawie. Marcin Żarski zbrodni nie popełnił; to nie on zamordował hrabiego Jelskiego... Hrabiego uduszono... uduszono sznurem jedwabnym, który na szyi pozostawił ślady... Zresztą pani wie o tem najlepiej, bo przepędziłaś noc całą przy zwłokach męża... Nie jestem sędzią, a jednak podjęłabym się opowiedzieć przebieg scen okropnego dramatu, jaki rozgrywał się z kolei w rzeczywistości... A może powiedziałabym nawet dla czego zbrodnia popełnioną została...

— Widzę, że pani, jak adwokat, podejmuje się obrony... a może, jak prokurator, oskarżenia... pozwól jednak sobie powiedzieć, że nie odpowiednią do tego wybrałaś chwilę i miejsce. Nie jesteśmy same, a oczy osób tu zebranych, zwracają się na nas... dla tego sądzę, że lepiej uczynimy, odkładając naszą rozmowę do właściwszego momentu. Nie wątpię, że gdy zastanowisz się z większym niż dziś spokojem nad tem, co mi powiedziałaś, zrozumiesz, jak srodze obrażasz swego ojca, przypuszczając, iż nie spełnił ciążącego na nim obowiązku.

— Może pani ma słuszność. Są rzeczy, które w głębi serca ukrywać należy. Lecz zanim odejdziesz... a przeczuwam, że nie prędko się spotkamy... zapytam pani, jakim prawem hrabina Jelska ośmieliła się wejść pod dach domu Piotra Molskiego?

Rumieniec oblał ponsem twarz Marceliny; poczem natychmiast lica jej pokryły się trupią bladością. Zmrużyła powieki, żeby ukryć błyskawicę nienawiści i gniewu, zapalającą się nagle w czarnych źrenicach. Straszna obelga, jaką siostra Kazimierza cisnęła jej prosto w oczy, wstrząsnęła nią gwałtownie, lecz po chwili zapanowała nad gorejącą w łonie wściekłością i odpowiedziała z dumą, cichym i spokojnym głosem:

— Hrabina Jelska ma prawo wejść wszędzie, gdzie się jej tylko podoba!

— Wątpię bardzo.

— Co chcesz pani przez to powiedzieć?

— Że kochanka Kazimierza Molskiego, nie powinna była przestąpić progu naszego domu — odparła Eugenia z powagą. Jakkolwiek szczodra jej ofiara otrze niejedną łzę i niejedną duszę zgnębioną napełni weselem, wolałabym nie widzieć pani u siebie.

Marcelina nagłem poruszeniem ręki spuściła na twarz woalkę i odeszła.

Piekne panie, siedzące za stołami — które, z powodu znacznego oddalenia, nic z powyższej rozmowy dosłyszeć nie mogły — widząc, że zalotna wdowa już się oddala, zaczęły o niej szeptać między sobą. Jedne wyrażały się o losie osamotnionej hrabiny z udawanem politowaniem, inne bez ceremonii potępiały jej skandaliczne postępowanie, a gdy drzwi sali zamknęły się za Marceliną, całe zgromadzenie poczęło bawić się jej kosztem. Opowiadano sobie wzajemnie, z przeró-

żnymi dodatkami i waryantami najfantastyczniejsze historye, krążące po mieście: o jej dziwacznych upodobaniach, wybrykach, zbytkach i źle ukrywanej namiętności dla „znacznie młodszego“ od siebie adwokata.

Tymczasem kareta hrabiny pędziła ku Marcelinowi.

Na progu jednego z gabinetów modnej, zamiejskiej restauracyi stał Kazimierz, oczekujący na nią oddawna. Gdy Marcelina wbiegła do ogrzanego i przyozdobionego kwiatami pokoju, zawołał:

— Nareszcie! Już myślałem, że nie przyjedziesz.

— Ach, gdybyś wiedział, gdzie byłam...

— Wiem, wiem... u nas, na „wencie“ — szepnął z nieukrywanym wcale niezadowoleniem. Czy widziałaś Genię?

— Nietylko widziałam, lecz nawet zakupiłam wszystko, co miała na swoim stoliku.

Kazimierz odetchnął.

— Więc dla tego się spóźniłaś?

— Bawiłam tam nie dłużej, jak godzinę, lecz godziny tej nie zapomnę nigdy w życiu! — rzekła Marcelina, uśmiechając się jakimś dziwnym, zarazem smutnym i złośliwym uśmiechem. — Zapytaj jutro panny Molskiej o czem rozmawiałyśmy z sobą. Powie ci prawdopodobnie, że mnie z waszego domu prawie wyrzuciła.

Długie milczenie zaległo w gabinecie.

Kazimierz nie mógł znaleźć ani jednego słówka na potępienie siostry, hrabina zaś myślała o afroncie, jaki ją spotkał i o radości, jakiejby doznała, gdyby mogła pomścić się okrutnie za doznaną zniewagę.

W ciągu objadu rozmowa toczyła się leniwo i — ze względu na służbę restauracyjną — o przedmiotach bez znaczenia. Po wetach, przy których obie zaledwie dotknęli ustami kieliszków z szampańskim winem, hrabina powstała z miejsca i rzekła do towarzysza:

— Podaj mi futro... pójdziemy się przejść.

— Chłodno i chmurno... wkrótce ściemniać się pocznie.

— Potrzebuję odetchnąć świeżem powietrzem!

Wyszli do ogrodu, w którym ścieżki, wysypane Wiślanym piaskiem — w pośród istnych wałów białego śniegu, piętrzących się przy ich bokach — raziły oczy swą żółtą jaskrawością.

— Wyjdźmy na gościniec. Ten piasek drażni mi nerwy... a zresztą, za ciasno mi tu i duszno. Chcę poruszać się swobodnie... chcę widzieć przed sobą przestrzeń rozległą!

Na bitej drodze do Czerniakowa, dobrze znanej Marcelinie, nie było nikogo, nikt zatem nie mógł ich podsłuchiwać. Szli jednak milcząc; dopiero po niejakimś czasie Kazimierz pierwszy usta otworzył.

— Ani ty, ani ja nie mieliśmy dzisiaj dobrych inspiracyj. Czy wiesz, co robiłem w czasie twego pobytu na „wencie“?

— Co?... powiedz?

— Przechadzałem się pieszo po Alejach Ujazdowskich.

— Dzika myśl!... Skądże ci przyszła do głowy?

— Zatrzymałem się przed pałacem twego nieboszczyka męża... i... czy uwierzysz? stóp od chodnika oderwać nie mogłem. Zdawało mi się, że przymarzłem do pokrywającego go śniegu. Ludzie mijali i spoglądali na mnie zdziwieni. Stałem, jak wryty. Chciałem uciekać... nie byłem w stanie nóg poruszyć. Oczy moje od tego zamkniętego i pustego domu nie odrywały się ani na chwilę, a serce ściskało się, albo waliło tak gwałtownie, sprawiając okropną męczarnię, że gdyby mnie kto wówczas nagle zapytał: co mi jest... byłbym bez wahania, dla chwilowej ulgi w cierpieniu, wyznał wszystko... wszystko, wypowiadając całą prawdę... o naszej wspólnej zbrodni!

— Więc zdradziłbyś mnie, bez litości?... Czy sądzisz, że jestem spokojną, dla tego, że gram komedyę, że udaję spokój i dumę? Och, nie!... Nawet młodość mi jest ciężarem. Chciałabym być starą... bardzo starą, i polecieć gdzieś z tobą za kraj świata. Dopóki pozostaniemy w Warszawie, drażnić nas będzie pamięć o zbrodni... i wyrzuty sumienia za karę, którą niewinny przez nas ponosi, i męka na myśl o nędzy jego rodziny. Tak, ta cała czarna chmura wspomnień nie da nam spokoju. Bóg przecie wie, że nie jesteśmy zatwardziałymi łotrami. Popełniłam zbrodnię, bo byłam szaloną, a do szału doprowadziła mnie miłość macierzyńska... — Po chwili dodała jakimś głębokim, poważnym głosem. Gdyby ludzie wiedzieli, nie przebaczyliby mi pewnie, lecz Bóg rozgrzeszy; musi rozgrzeszyć, bo on wie, że tylko myśl o wydartem mi dziecku uzbroiła moje ręce w sznur przeklęty!

Zamilkła. Kazimierz, bardzo blady, milczał także. Cisza zbliżającego się zimowego wieczoru ogarniała ich dusze, wlewając w nie chwilowe ukojenie. Uszedłszy parę wiorst drogi, bezwiednie, machinalnie zawrócili ku Marcelinowi. Nagle rozległ się przy nich głos dziecięcy, wołający:

— *Belle... belle figurine!*

Z poza krzaka dzikiej róży, rosnącej nad rowem i obsypanej śniegiem, wyskoczyli na gościniec dwaj malcy.



Chłopak nie spostrzega, że pan i pani przypatrują mu się ciekawie.

— O, jaka pani śliczna! — rzekł Pietrek, przytrzymując ręką deskę z figurkami na głowie.

Hrabina nie spojrzała nawet na niego i szła dalej. Ale chłopak nie dawał za wygrane, biegł dalej i skomlał:

— Paniusiu! niech paniusia co kupi. Może Świętego Antoniego Padewskiego, a może Napoliona... Nic dziś jeszcze nie sprzedałem. Strasznie nam zimno; nie mamy futer, jak państwo. Memu koledze ręce zmarzły, a on taki biedak zmęczony i chory! Zarobił wprawdzie popołudniu pół rubla na jednem podwórku za pomarańcze, ale musiał wszystkie hopy oddać zaraz pryncypałowi, który czekał przed szynkiem... Wybrali my się tutaj, bo mówili ludziska, że w tych stronach odbyć się ma weselisko. Oho, chyba dyabeł z piekielną jakąś ciotą się żenił, bo od godziny czwartej chodzim i chodzim, a nie spotkaliśmy ani muzyki, ani drużbów, ani młodego z młodą... Dopiero teraz panią, taką piękną i tego młodego pana, co także jest ładny, pierwszych nadybawszy, prosimy bardzo, niech państwo co kupią... Jak nie zarobimy, choćby coś nie coś, to czeka nas w budzie na Czystem okrutne lanie. O mnie, to tam mniejsza, bom zdrów... ale Kwiatkowi-Nędzy dostaną się bolesne wnyki. Oni go zbiją na kwaśne jabłko!

Wyrazy „Kwiat Nędzy“ zastanowiły widocznie hrabinę i Kazimierza, bo już w pobliżu Marcelina zatrzymali się nagle, szukając wzrokiem istoty, noszącej tak wymowne przezwisko.

Istota ta, wyczerpana z sił długiem chodzeniem o głodzie, upadła na drewnianą ławeczkę, stojącą tuż przy wrotach, wiodących do restauracyjnego ogrodu.

Chłopak nie spostrzega, że pan i pani przypatrują mu się ciekawie. Nie podnosi powiek, opadających pod ciężarem łez, zamarzających na rzęsach. Siedzi nieruchomy jak posąg, którego nic zda się ożywić nie zdoła. Tyle boleści i takie straszne ściśnienie serca maluje się na jego twarzy, że Marcelina czuje się głęboko wzruszoną. Zbliża się do dziecka, bierze je za ręce i zmusza do zwrócenia oczu na siebie. Wzrok Janka zadziwia ją i miesza.

— Sprzedaj mi wszystkie pomarańcze, jakie masz w koszyku. Kupię co do jednej, a pan kupi figurki twego kolegi. To mówiąc siada na ławce, obok malca. Zda się jej, że go zna oddawna, że zawsze go znała. Poczem mówi tonem, pełnym słodyczy:

— Posłuchaj mnie. Zaniesiesz pomarańcze do mnie na ulicę Wiejską, numer ósmy. Zapłacę ci za nie bardzo drogo, pragnę bowiem, żebyś był dzisiaj szczęśliwszym niż kiedykolwiek.

— O, pani! jakże wdzięczny jestem... — odparł chłopiec drżącym głosem.

I nagle uśmiech wykwita na jego bladych wargach, lecz równocześnie i płakać zaczyna, tym razem łzami radości. Płacze długo, a Marcelina, przejęta jakimś dziwnym dreszczem, nie śmie go o nic pytać. Patrzy w twarz jego, zwiędłą już jak lica dojrzałego człowieka. Znać na niej, że wiele przecierpiał. Czoło wypukłe pokrywają liczne i głębokie zmarszczki, a w uśmiechu nawet wyczytać można smutki i rozczarowanie.

— Ile masz lat? — pyta go nareszcie hrabina.

Chłopiec milczy chwilę. Ta wykwintnie ubrana i piękna pani wzbudza w sercu jego niepokój i pociąga ku sobie zarazem jak magnes. W końcu szepcze:

— Mam lat dwanaście.

— Dwanaście! Wiek mego syna!... wiek dziecka, które utraciłam...

— Czy umarł?

— Tak... prawdopodobnie umarł... — Potem dodaje coraz słabszym głosem — Ty pewno nie jesteś sam na świecie. Masz ojca i matkę, którzy cię kochają?

— Jestem sierotą. Matka moja zmarła przed paru tygodniami... a ojciec pojechał daleko... bardzo daleko... Pewno go już nigdy nie zobaczę!

Kwiat-Nędzy, żeby nie mówić więcej, powstaje i zabiera się ruszać w drogę.

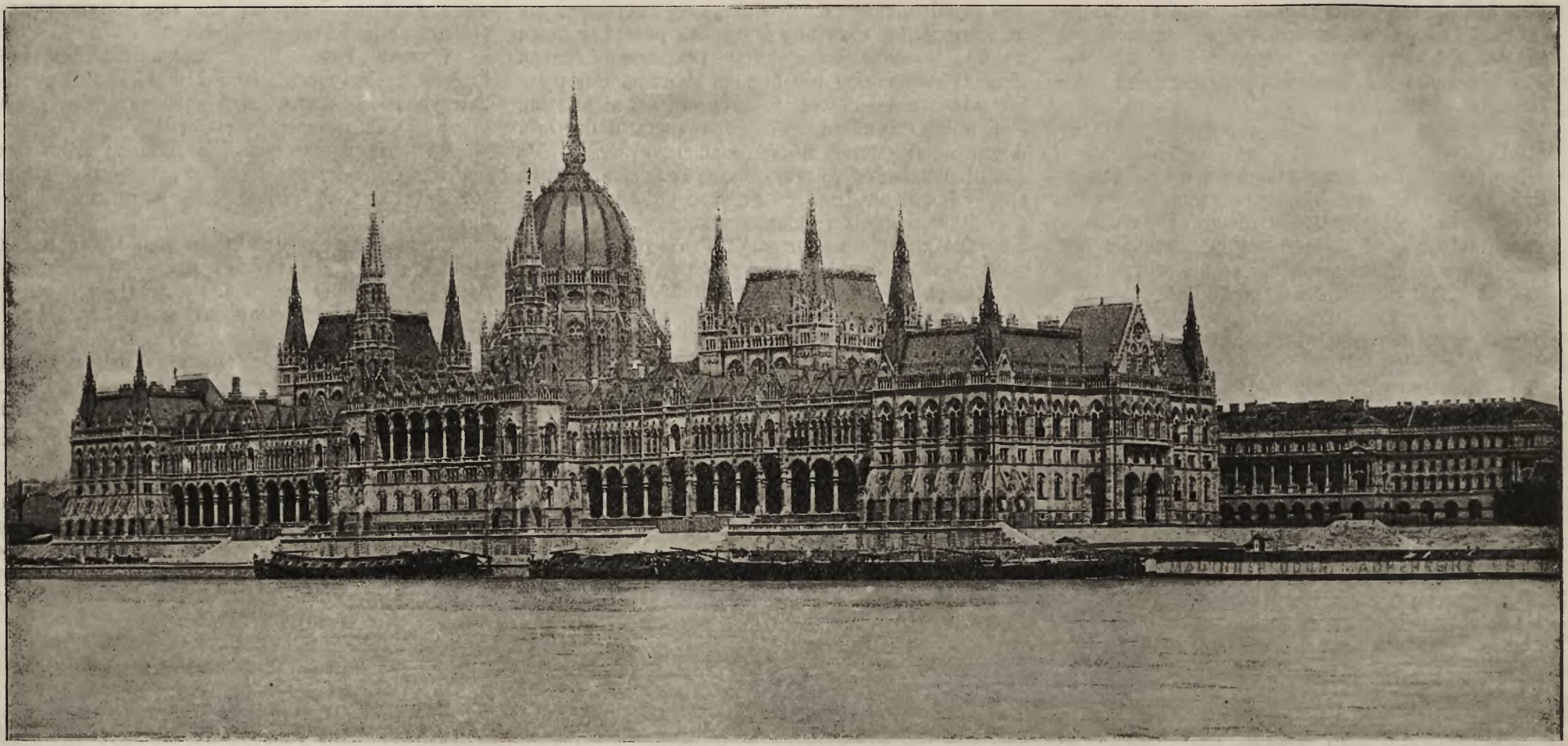
— Nie dziwię ci się moje dziecko, że nie chcesz zwierzać się przedemną, obcą ci bowiem jestem — rzecze Marcelina. Sama nie wiem doprawdy, dla czego cię wypytywałam... Lecz nie zapomnij przynieść mi pomarańcze na ulicę Wiejską. Zapytasz o hrabinę Jelską, a każdy wskaże ci dom mój i mieszkanie...

— Hrabina Jelska! — szepnął Janek, przesuwając dłoń po czole — hrabina Jelska! Czy to ta pani, co mieszkała dawniej w pięknym pałacu, przy Alejach Ujazdowskich?... O, nie! ja do niej nie pójdę, bo się jej boję!... Pani jesteś przyczyną mojego nieszczęścia... pani i pan Piotr Molski. Och! nasłuchałem się dosyć o tem, że to przez was oboje doktór Marcin Żarski skazany został niewinnie za zbrodnię, popełnioną przez kogo innego...

I oszalały nagłem wzruszeniem, wstrząsającem całą jego istotą, pozostawia na ławce kosz z pomarańczami i ucieka, goniony przez Pietrka, który pragnie go zatrzymać.

— Nie... nie... zostaw! Ta pani, to hrabina Jelska, ta nędznica, która, jak mi mówiła babcia, dopuściła się zbrodni... Ona udusiła hrabiego... Uciekajmy!... Nie chcę widzieć tej kobiety, bo ja ją nienawidzę... bo ja się jej lękam. Chodź! uciekajmy!

C. d. n.



Rewolucya w węgierskim parlamencie: Gmach parlamentu w Budapeszcie.

Rowolucya w węgierskim parlamencie.

Ostatnim, najpiękniejszym wyrazem konstytucyjnego życia jest instytucya parlamentu. Tu — powołani wolą ludu — wybitni obywatele kraju — radzą na dobrem państwa, stanowią nowe ustawy, zmieniają stare, uchwalają podatki pieniężne i „podatek krwi“, pobór rekruta. Stanowisko posła do Rady Państwa jest najwyższą ostateczną godnością obywatelską, do jakiej w społeczeństwie działacz publiczny dojść może. Na niego zwrócone są oczy całego kraju i państwa, jego przemówienia publiczne, a nawet prywatne zwierzenia i wynurzenia są na szpaltach pism cytowane i komentowane. Stanowisko wybitne i wpływowe — daje wiele preregatyw, ale zarazem wkłada i poważne obowiązki.

Niestety! parlamentarzyści ostatniej doby zapomnieli nietylko o obowiązkach swoich, ale wprost już o własnej godności. Sale posiedzeń parlamentarnych w Paryżu, Madrycie, Wiedniu — były widowiskami niebywałych ekscesów i karczemnoulicznych wybryków — ludzi poważnych i skądinąd zasłużonych i szanowanych, których chwilowa namiętność polityczna za daleko uniosła.

Wszystko to jednak było niewinną igraszką, dziecinną swawolą, czy pustotą, w porównaniu z ekscesami, jakie wybuchły niedawno w parlamencie węgierskim.

Kością niezgody między rządem, a opozycyą, niezgody, która doprowadziła do ostatniej fazy karczemnych wybuchów — było t. zw. „Lex Daniel“. Ustawa ta uchwaloną miała być właśnie w krytycznym dniu i wprowadzoną w życie. Istota tego prawa zasadzała się na przy musowem regulowaniu porządku posiedzeń parlamentarnych, który w ostatnich czasach srodze ucierpiał wskutek bezwzględnej opozycyi lewicy. Nowy regulamin Izby zaprowadzał specyalną straż parlamentarną dla ochrony prezydyum przed napaściami i zniewagami krewkich posłów, jak niemniej zawierał postanowienie przymusowego usuwania ze sali posiedzeń tych członków parlamentu, którzy zachowaniem swojem zagrażają powadze i bezpieczeństwu obrad.

W dniu, w którym owa ustawa w życie wejść miała — cała falanga opozycyjnych posłów wtargnęła do budynku parlamemtu — pobiwszy dotkliwie stojącą przed bramami straż, przyczem i komisarzowi policyi i prokuratorowi dostały się porządne cięgi.



Książę Piemontu: Królewicz Humbert, następca tronu włoskiego.

Wpadłszy na salę posiedzeń, rozpoczęła opozycya straszną niszczącą gospodarkę. Wszystkie meble, nie wyłączając fotelu prezesa ministrów, wszystkie stoły, pulty i ławki poselskie, zrzucono na jedną kupę na środek sali, przyczem oczywiście nie pozostało ani jednego sprzętu w całości. Za kilka chwil przedstawiała się oczom bezładna kupa połamanych blatów i nóg stołowych, rozbitych stołków i połupanych pultów.

Straż, broniąca mebli — wyszła z rąk napastników nielepiej od zdruzgotanych sprzętów. Kilku strażników pobito do krwi, czterem połamano żebra, jednemu złamano nogę. Wielu z nich znajduje się w poważnem niebezpieczeństwie życia. Dokonawszy swego dzieła przez „unieudolnienie“ straży parlamentarnej i zdemolowanie sprzętów — opozycya cała zasiadła na gruzach i w teatralno-bohaterskich pozach, kazali się odfotografować. Na tychże samych gruzach urządzili małą szubienicę, na której „in effigie“ powieszono — kogo? — Tiszę — prezesa ministrów!...

Gwałty i bezprawia dokonane na służbie parlamentarnej, zniszczenie i sprofanowanie miejsca, gdzie losy państwa się rostrzygają — to wszystko znajdzie swój epilog przed kratkami sądowemi. Z urzędu bowiem wglądnęła w tę sprawę prokuratorya państwa i postawiła posłów-ekscedentów w stan oskarżenia o gwałt publiczny, znieważenie przedstawicieli władzy i uszkodzenie cudzej własności.

Posłowie opozycyjni zdeklarowali się wprawdzie do zwócenia materyalnych strat, poniesionych przez ich wybryki, nie zmniejsza to jednak wcale ich karnej odpowiedzialności, tak jak idea, dla której rzekomo walczyli, nie rozgrzeszy ich z bezprzykładnej brutalności i warcholstwa — w obliczu historyi węgierskiej...



Rewolucya w węgierskim parlamencie: Stos zdemolowanych przez opozycyę mebli i stołów.

Książę Piemontu.

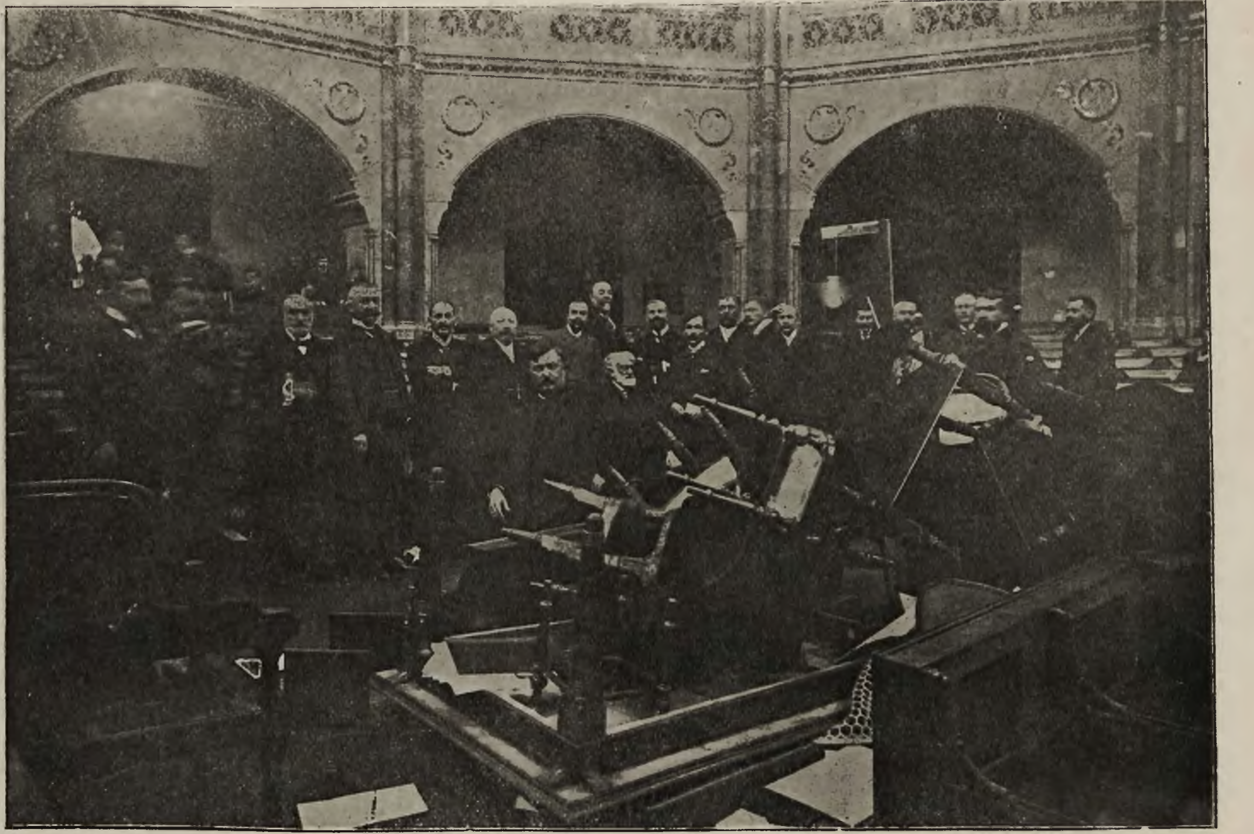
W poprzednim numerze — jak sobie zapewne Czytelnicy przypominają — podaliśmy opis uroczystości Chrztu św., dokonanego na młodym królewiczu włoskim. Dzisiaj — podając portrecik dziedzica włoskiego tronu i jego matki w otoczeniu dwóch córeczek — chcemy pomówić o doniosłości faktu przyjścia na świat małego Humberta.

Zawsze w każdej rodzinie radosnym faktem jest zjawienie się męskiego potomka; narodziny atoli następcy tronu są wypadkiem historycznej doniosłości. Na nim spoczywają nadzieje rodziców i narodu — on, dziedzic korony i spadkobierca dziejowego nazwiska — powołany jest do podtrzymywania tradycyi królewskiego rodu, a w przyszłości do sprawowania rządów nad ludem.

Tron włoski długo pozbawiony był dziedzica; nareszcie w sierpniu zelektryzowała Włochy radosna, a upragniona od dawna wieść: kraj i rodzice pobłogosławieni zostali męskim potomkiem. Wieść ta odbiła się szerokiem echem po całej Europie — wszystkie pisma rozpisywały się obszernie o małym Humbercie, nie mówiąc już o prasie włoskiej, która ze wszystkimi szczegółami i szczególikami spisywała i komentowała pocieszające to zdarzenie.

W dziecku płynie krew słowiańska, gdyż matka jego, królowa Helena, jest córką czarnogórskiego władyki — księcia Mikołaja.

Królestwo włoscy pobłogosławieni są trojgiem dziatwy obecnie, gdyż prócz maleńkiego następcy tronu, mają jeszcze 2 córki: księżniczkę Jolantę i Mafaldę. Na młodym królewiczu oparte są wielkie nadzieje rodziców i narodu. Wszak to dziedzic jednego z największych tronów świata — najpiękniejszego z krajów i najwierniejszego z ludów...



Rewolucya w węgierskim parlamencie: Na szczątkach połamanych mebli umieszczona szubienica z napisem: „Tisza“.



Książę Piemontu: Matka następcy tronu włoskiego, królowa Helena z córkami swemi księżniczką Jolantą i Mafaldą.

30-letni jubileusz zawodowej pracy.

30 lat wytrwałej publicznej pracy, 30 lat na jednym posterunku społecznym — to piękny, niepospolity dowód żywotności sił fizycznych i duchowych, uzdolnienia i zrozumienia obowiązków obywatelskich.

Świetnych tych dowodów dostarczył w dniu 7 grudnia b. r. znany i ceniony adwokat tarnowski Dr. Emil Psarski, któremu w uroczystym tym dniu składali życzenia przyjaciele, znajomi i klienci.

Główny kontyngens tych ostatnich składa się z włościan powiatu dąbrowskiego, u których cieszy się Jubilat zaufaniem i wziętością, jako prawny ich doradca, miłością zaś i szacunkiem jako ich sąsiad. W powiecie dąbrowskim posiada bowiem Dr. Psarski ziemski mająteczek.

Jubilat urodził się w r. 1844; po ukończeniu gimnazyum w Tarnowie, wstąpił jak wielu z ówczesnej młodzieży w r. 1863 w szeregi obrońców Ojczyzny i walczył w oddziałach Jordana i Dunajewskiego. Po upadku powstania poświęcił się zawodowi prawniczemu: uczęszczał początkowo na Uniwersytet Jagielloński, studyów zaś dokończył na wydziale prawnym uniwersytetu wiedeńskiego. W Wiedniu wstąpił też do służby sądowej — następnie przenosi się do Galicyi i jako egzaminowany sędzia pełni służbowe obowiązki kolejno w miastach Krakowie, Dębicy i Tarnowie. Następnie porzuciwszy służbę rządową — poświęcił się zawodowi adwokackiemu, który też po dziś dzień w rodzinnem swem mieście: Tarnowie — wykonywa.

Po odbyciu praktyki — otworzył własną kancelaryę w r. 1874 i dostąpił wkrótce wszystkich obywatelskich zaszczytów i godności. Został wybrany radcą gminnym, członkiem Wydziału, był długie lata dyrektorem Kasy Oszczędności m. Tarnowa, i przewodniczącym Komitetu budowy tejże Kasy.

W ostatnich latach usunął się Jubilat zupełnie od życia publicznego i z dawnym, niewyczerpanym latami i pracą zapałem — oddaje się ukochanemu swemu zawodowi adwokackiemu.

Pomimo podeszłego wieku, cieszy się Dr. Psarski znakomitem zdrowiem i czerstwością umysłu i długie, długie lata, dla dobra społeczeństwa swego pracować jeszcze może, czego też z całego serca czcigodnemu Jubilatowi życzymy!



30-letni jubileusz zawodowej pracy: Adwokat krajowy Dr. Emil Psarski.



Rewolucya w węgierskim parlamencie: Posłowie opozycyjni opanowują trybuny prezydyum.



Jarmark wyrobów krajowych we Lwowie: Pawilon cukierni Z. Litwińskiego.



Jarmark wyrobów krajowych ws Lwowie: Pawilon fotograficzny E. Brodkowskiego.

Jarmark wyrobów krajowych we Lwowie.

Świeżo zamknięto rachunki z jarmarku krajowego. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć tę chwilę, przynoszącą stolicy kraju prawdziwy zaszczyt.

Rok ubiegły zapisał się złotemi zgłoskami na kartach przemysłu krajowego. Kwiatem tego przemysłu był właśnie urządzony w najpiękniejszej i najstosowniejszej porze roku jarmark krajowy. Już od dawna, dzięki staraniom ludzi dobrej woli i gorącego patryotyzmu, przygotowywano się do tego występu. Zewsząd przychodziły zgłoszenia, zamawiano miejsca, budowano pawilony i kramy. Gorączkowa praca wrzała na całym placu powystawowym w przepięknym parku Stryjskim. Przy głównej i najwyższej jego alei, skąd się rozpościera przecudny widok na stolicę kraju, poczęły wykwitać, niby za dotknięciem czarodziejskiej różczki, kioski, altanki i świątyńki przemysłu krajowego. Niektóre podajemy w naszym piśmie.

Były tam pałacyki o ażurowych ścianach, filigranowe, niby mieszkanka boginek leśnych; były altanki uplecione z pręcików niby klatki dla podzwrotnikowych ptaków; lecz były także stylowe i prawdziwie jarmarkowe kramy i budy, kapiące niemal purpurą i przepychem krajowej twórczości.

Już zdala świeciła swą srebrzystą szyjką olbrzymia, nad wszystko wystrzelająca butelka szampańska — tak wielka, iż się w jej wnętrzu mógł ukryć cały skład wódek L. Lewickiego, urągała ona niejako skromnej i wykwintnej gospodzie Eleuteryi, która pogodnie, a dumnie rozsiadła się obok, racząc swych gości „czem chata bogata“ — z wyjątkiem okowity. Dalej stał pawilonik, reprezentujący fabrykę papy dachowej E. Kuźnickiego w Oświęcimiu. Było i kilka cukierni, n. p. Z. Litwińskiego ze Lwowa. Dalej kram Brodkowskiego i piwiarnia okocimska. Były kramiki, misterne i



Jarmark wyrobów krajowych we Lwowie: Kiosk, gdie grywały orkiestry wojskowe podczas jarmarku i festynów.

wdzięczne, a stylowo urządzone Towarzystwa Szkoły Ludowej, oraz zakazany przez policyę kram z wystawą fotografij zwycięstw rosyjskich.

Panorama racławicka po staremu dominowała nad całą jarmarkową wystawą. Pałac sztuki odnowiony dał schronienie całemu szeregowi firm. Tam widzieliśmy nasiona, futra, tkaniny, kilimki, kafle itd. itd. Główną aleję objęły szpalerem drobne i wdzięczne kioski. Nie brakło rozrywek i dla szerokich warstw publiczności, menażeryi, huśtawek i karuzelów. Do późnej nocy trwało koło tych wabików prawdziwe oblężenie. Dla nadania jarmarkowi tem prawdziwszego kolorytu, udzielono kilku żebrakom wstępu na jarmark.

Więc jeden grał na skrzypcach i śpiewał pobożne pieśni. Drugi na katarynie, ciemny, z orderami na piersiach. I jeszcze ślepy did z teorbanem.

Jarmark udał się doskonale i przyniósł, jak na pierwszy raz, nawet dochód w kwocie 740 koron. W dyskusyi nad rachunkami wyrażono podziękowanie, między innymi, panu dyrektorowi Szydłowskiemu, który wraz z personalem zajął się techniczną stroną jarmarku, a że wynik tej akcyi był pomyślny, to właśnie ich wszystkich zasługa.

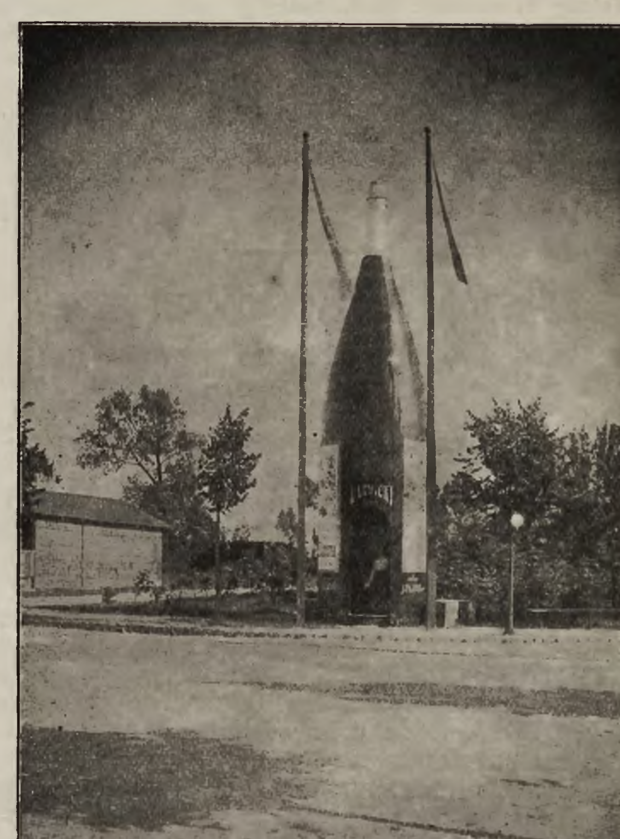
Kwotę 740 K, 66 h. złożono na książeczkę wkładkową filii Krakowskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu i przeznaczono na cele przyszłego jarmarku.

35 lat pracy pedagogicznej.

„Komu bogi były wrogiem — zrobiły go pedagogiem“ — mówi stare przysłowie. Jednak i przysłowia, jak wogóle wszystko na świecie — starzeją się i tracą wiele na prawdzie i trafności. Mamy wielu zasłużonych pedagogów, którzy po długim okresie nauczycielskiej ciężkiej pracy — nietylko nie uważają się za ofiary zawistnych „bogów“ (dzisiaj powiedzielibyśmy: losu), lecz owszem z dumą i radością spoglądają na ubiegłe lata pracy — ubłogosławionej hojnymi owocami z ich duchowego posiewu: całemi pokoleniami młodzieży zdrowo i pożytkowi społeczeństwa przez nich wychowanemi.



Jarmark wyrobów krajowych we Lwowie: Pawilon oświęcimskiej fabryki papy E. Kuźnickiego.



Jarmark wyrobów krajowych we Lwowie: Olbrzymia butla szampańska L. Lewickiego.



Fot Leon Majewski. Tarnów.

Szynkarze przeciw prawu propinacyi: Grupa delegatów stowarzyszeń gospodnio-szynkarskich, które obesłały wiec szynkarski zwołany do Tarnowa.

Do takich zacnych, żarliwych a niestrudzonych pedagogów należy dr. Maryan Łomnicki, który obchodzi obecnie 35-letni jubileusz zawodowej swej pracy. Tymi dniami żegnało ustępującego profesora grono jego kolegów i uczniów, dla których Łomnicki był prawdziwym ojcem i przyjacielem.

Dr. Maryan Łomnicki urodził się w r. 1845 w Baworowie, studya gimnazyalne i uniwersyteckie kończył we Lwowie. Poświęciwszy się przyrodoznawstwu, został nauczycielem gimnazyalnym w Stanisławowie, gdzie długi czas z wielką znajomością rzeczy i barwnie tradował ulubiony swój przedmiot, w szczególności zaś mineralogię i botanikę.

Prócz pracy pedagogicznej zapisał się również chlubnie na kartach literatury przyrodniczej. Prócz wielu podręczników szkolnych napisał i wydał wiele dzieł z zakresu historyi naturalnej, z których celniejsze wymieniamy: „Zapiski zoologiczne“, „Mineralogia i geologia“, „Dolina Prutu“ i w niemieckim języku: „Die galizisch-podolische Hochebene“.

W r. 1903 doczekał się należącego mu „panem bene merentium“. Został Łomnicki mianowany kustoszem Muzeum im. Dzieduszyckich, gdzie na tem skromnem, acz zaszczytnem stanowisku po dziś dzień pozostaje.

W uroczystej dla jubilata 35-letniej rocznicy owocnej jego pracy pedagogicznej — życzymy mu długich jeszcze spokojnych lat życia... Oby pedagogami tej miary i zasługi, kraj nasz zawsze mógł się chlubić!...

Szynkarze przeciw prawu propinacyi.

Tegoroczna jesienna sesya sejmowa była tak krótką, że nawet i w połowie reprezentaci kraju nie zdołali załatwić spraw bieżących umieszczonych na porządku dziennym. Cały szereg spraw bardzo ważnych, a między innemi kwestya ustawy propinacyjnej, pozostały nie załatwione. Mimo to jednak, że nie toczyły się wcale obrady na temat ustawy propinacyjnej, kwestyę tę omawiano dość głośno w kulisach sejmowych i rozeszła się wieść jakoby znaczna część posłów była za przedłużeniem prawa propinacyjnego na dalszych lat piętnaście.

Wieść ta wśród szynkarzy wywołała wrzenie i to tem większe, że sejm miał znieść obecną ustawę propinacyjną, przygniatającą swym ciężarem nie tylko szynkarzy, ale całą ludność kraju. Wszystkie stowarzyszenia gospodnio-szynkarskie poruszyły się jak mrowiska rozrzucone ręką swawolnego chłopaka. Tarnowskie stowarzyszenie gospodnio szynkarskie zwołało na 14 grudnia wiec wszystkich stowarzyszeń i korporacyi szynkarskich z całej galicyi w sprawie protestu przeciw zamierzonemu przedłużeniu prawa propinacyjnego.



35 lat pracy pedagogicznej: Dr. Maryan Łomnicki kustosz muzeum Dzieduszyckich we Lwowie.

Zjechało się do Tarnowa przeszło ośmdziesięciu delegatów z wszystkich miast i miasteczek galicyjskich, ale wiec nie przyszedł do skutku, gdyż starostwo tarnowskie nie pozwoliło na odbycie wiecu ze względów formalnych, gdyż nie otrzymało pisemnego uwiadomienia o zwołaniu wiecu.

Komisarz rządowy pozwolił jednak na zgromadzenie miejscowych szynkarzy z tą nawet bonifikacyą, że przybyli goście otrzymali prawo zabierania głosu jako doradcy. Na tych obradach powzięto cały szereg uchwał, a między innemi, aby najdalej do trzech miesięcy zwołać we Lwowie wiec stowarzyszeń gospodnio-szynkarskich, na którym poruszoną zostanie sprawa protestu przeciw przedłużeniu prawa propinacyi.

Lwów został obrany na zjazd skutkiem wniosku p. Krzystofa Janowicza, który zaznaczył, że we Lwowie, gdzie prawo propinacyi nie istnieje, delegaci z prowincyi będą mogli swobodnie przedstawić obraz wyzysku, jakiego propinatorzy dopuszczają się zarówno na szynkarzach, jak i na publiczności.

75-letni jubileusz Zakładu dla głuchoniemych we Lwowie.

Jednem z najstraszniejszych nieszczęść, na których łup istota ludzka bywa wystawioną — to są nieuleczalne choroby i kalectwa. Człowiek ze zrujnowanem zdrowiem, dotknięty stałem organicznem kalectwem — to indywiduum upośledzone przez los w najdotkliwszy sposób. Kalectwo jego pozbawia go nietylko wszystkich ponęt i przyjemności, używania świata i życia — ale czyni go częstokroć mimo jego woli i intencyi ciężarem rodziny i społeczeństwa. Przypomnijmy sobie tylko owe masy biednych szaleńców i obłąkanych strzeżonych gorzej zbrodniarzy za kratami szpitali i sanatoryów — przypomnijmy sobie liczne zastępy paralityków, ociemniałych i głuchoniemych! Są to wszystko nieszczęśliwe osobniki, które bez własnego zawinienia nieubłaganą siłą fatum wyrzucone zostałe po za obręb żyjącego społeczeństwa, i pędzą straszne dni nędznego swego żywota w kompletnej nieświadomości umysłowej lub wiecznem charłactwie i niedołęstwie fizycznem.

To też filantropia i nauka od dawna podały sobie ręce ku ratowaniu nieszczęśliwych współbraci, powrócenia im zdrowia lub przynajmniej ulżenia opłakanej ich doli. Chrześciańska miłość bliźniego i poświęcenie jednostek, wspierane praktycznem doświadczeniem i wiedzą — cuda zdziałały już dotychczas na smutnym terenie ratowania i leczenia wszystkich tych nieszczęśliwych. Z roku na rok mnożą się prywatne, krajowe i rządowe fundusze i instytucye, mające za zadanie pielęgnowanie i powracanie do zdrowia chorych i kalek. Ciągle słyszymy o nowopowstających zakładach dla sparaliżowanych, ociemniałych, niedołężnych starców i chorych umysłowo. Cześć i wdzięczność należy się tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób śpieszą ulżyć doli cierpiących — Zakładom zaś

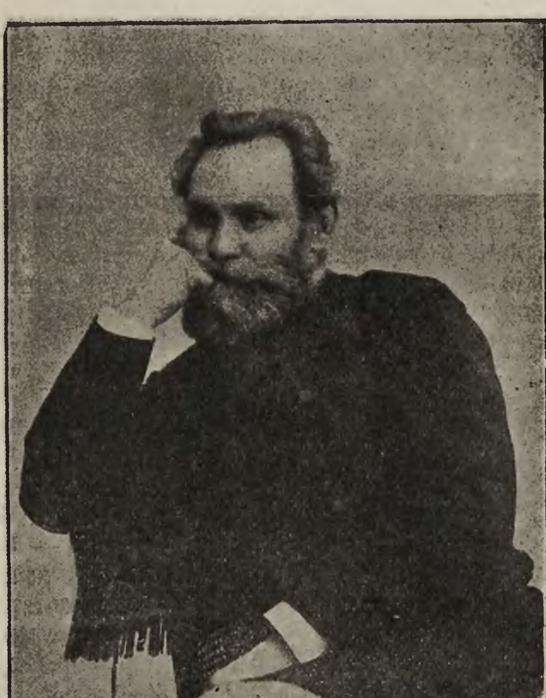


75-letni jubileusz Zakładu dla głuchoniemych we Lwowie: Gmach Zakładu przy ul. Łyczakowskiej.

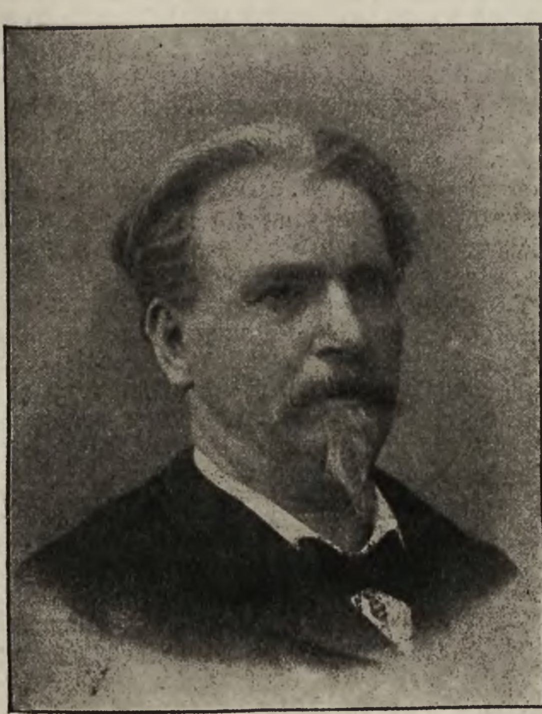
i przytułkom powinniśmy poświęcać baczniejszą uwagę i zainteresowanie.

Jedną z owych pożytecznych, humanitarnych instytucyi, jest egzystujący od 75 lat wychowawczy zakład dla głuchoniemych dzieci, zostający obecnie pod dzielnem kierownictwem zasłużonego dyrektora Zakładu p. Antoniego Majbauma.

Zakład przeznaczony jest wyłącznie do wychowywania dzieci głuchoniemych. Elewi przyjmowani są po ukończeniu 10 roku życia. W specyalnej szkole udzielaną im bywa nauka czytania i pisania jak i porozumiewania się z otoczeniem za pomocą alfabetu *„na migi“*. Prócz ogólnej tej klasyprzygotowawczej, posiada Zakład sale nauki rzemiosł dla chłopców i dziewczynek. Tu uczą się malcy szewstwa, stolarstwa, introligatorstwa i t. p., dziewczynki szycia, gotowania i gospodarstwa domowego. Ale oprócz zawodowego, fachowego wykształcenia — nie zapomniano również i o fizycznej stronie wychowania biednych elewów. Budynek 2 piętrowy o 12 oknach na froncie, położony jest w wielkim ogrodzie, dostarczającym wychowankom zdrowej, wesołej rozrywki na świeżem powietrzu. Do tego samego celu służy również wielkie boisko, zaopatrzone we wszystkie przyrządy gimnastyczne gdzie chłopcy i dziewczęta używają racyonalnej gimnastyki pod opieką zawodowych nauczycieli.



Laureaci fundacyi Nobla: Prof. Iwan Petrowicz Pawłow.



Laureaci fundacyi Nobla: Fryderyk Mistral.

Wychowawczo-pedagogiczny zakład dla głuchoniemych został założony staraniem i kosztem filantropa Franciszka Holdheima w r. 1830. W r. 1905 święcić będzie zatem Zakład 75-letni okres pożytecznego swego istnienia.

Ileż to nieszczęśliwych kalek w tak długim okresie czasu zawdzięcza Zakładowi powrót do społeczeństwa, uzdolnienie swe do pracy!

Obecny kierownik Zakładu p. Antoni Majbaum rozwija prawdziwie rodzicielską opiekę i pieczołowitość nad biednymi swymi elewami. Nauka udzielana jest w przystępnej i zrozumiałej dla kalek formie, sala nauk i rekreacyi, jadalnie i sypialnie w wzorowym porządku utrzymane. Nie dziw też, że niestrudzonemu opiekunowi małych kalek — towarzyszy miłość wychowanków, a wdzięczność i uznanie społeczeństwa, dla którego dobra podjął ciężką i żmudną swą pracę....



75-letni jubileusz Zakładu dla głuchoniemych we Lwowie: Antoni Mejbaum dyrektor Zakładu.

Laureaci fundacyi Nobla.

Epokowy wynalazca w dziedzinie sztuki wojennej — i inżynier szwedzki Alfred Nobel, zmarły w r. 1896, przyszedł pod koniec swego życia do przekonania, że źle światu i cywilizacyi przysłużył się swojem odkryciem. Dynamit, dzieło jego wiedzy i geniuszu, stał się strasznym środkiem masowego niszczenia życia ludzkiego — napełnił jednak suto kieszenie wynalazcy.

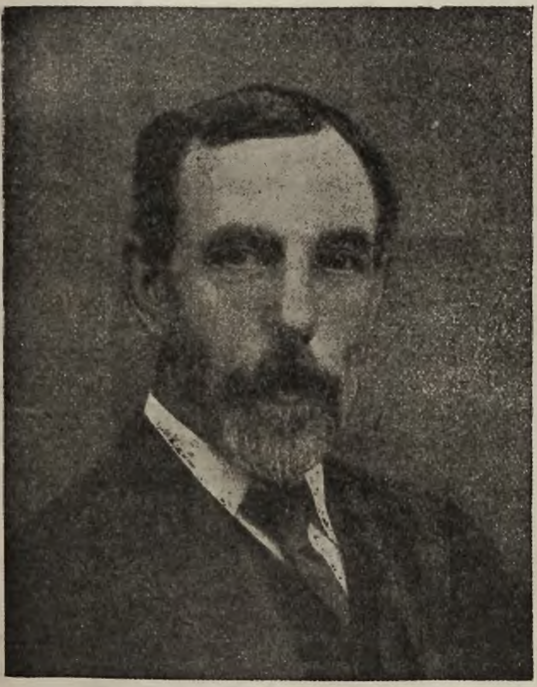
Nobel chciał częściowo nagrodzić krzywdę ludz-



75-letni jubileusz Zakładu dla głuchoniemych we Lwowie: Dziewczęta przy zabawie na boisku gimnastycznem

kości i zarobione dynamitem miliony, a przynajmniej część ich obracał na wielkie humanitarne cele. Między innymi poniósł on połowę kosztów słynnej a nieszczęśliwej wyprawy polarnej Andrégo.

Pomnikowem jednak dziełem życia wynalazcy jest utworzenie 50-milionowej fundacyi w przeznaczeniu jej odsetek na cele ogólno-naukowe. Mianowicie procenta od 50 milionów franków obracane bywają na nagrody za najwybitniejsze epokowe, wynalazki lub też dzieła sztuki i literatury. Kwalifikacyą kompetentów i rozdawnictwem pieniężnych nagród zajmuje się Akademia Umiejętności w Sztokholmie i Storthing norweski. Od śmierci Nobla trzykrotnie już przyznawano z jego fundacyi wysokie premie najzasłużeńszym pionierom nauki i sztuk. Corocznychtakich nagród pięć istnieje — z pięciu zdaniem fundatora najważniejszych dzie-



Laureaci fundacyi Nobla: Sir Wiliam Ramsay.

dzin wiedzy i sztuki. Nagrody te są następujące: za najważniejsze odkrycie z zakresu fizyki, chemii, medycyny i fizyologii, za najpiękniejszy utwór literacki i za najskuteczniejszą działalność w kierunku propagandy pokoju wszechświatowego.

Nagrodę ostatnią otrzymał gandawski instytut prawa między narodowego, na czele którego stoi brat założyciela instytucyi prof. Alberych Rolin.

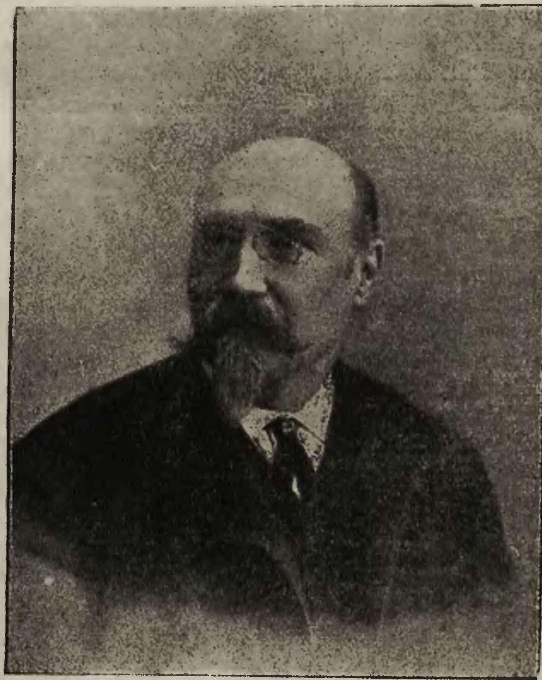
Nagrodę za prace w zakresie chemii otrzymał angielski uczony sir Wiliam Ramsay, który przysłużył się nauce odkryciem gazów w powietrzu, jak argonu, helimu, neonu, kryptonu k..onu.



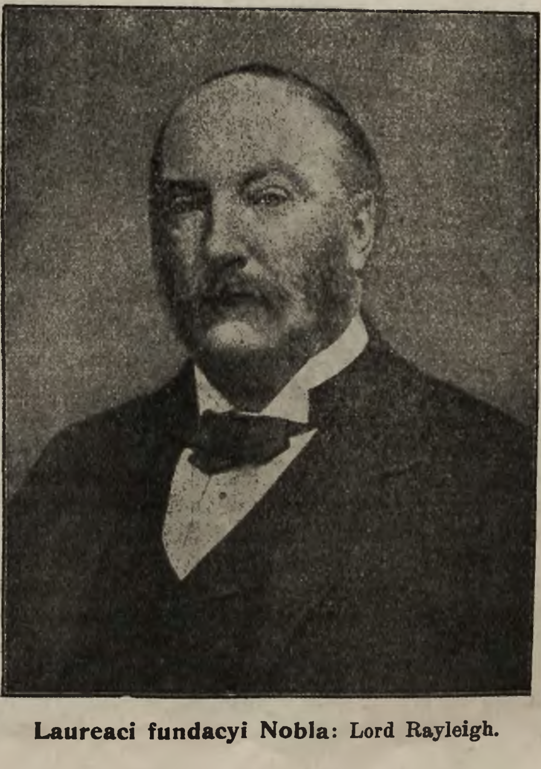
75-letni jubileusz Zakładu dla głuchoniemych we Lwowie: Wnętrze sali wykładowej.

Wspólnik prac Ramsaya, John William Strutt lord Ragleigh został wyróżniony premią za prace w dziedzinie fizyki, specyalnie zaś akustyki elektryki i optyki. Trzecią nagrodę za prace lekarskie, zwłaszcza znakomite studya nad trawieniem — otrzymał uczony rosyanin Dr. Jan Piotrowicz Pawłow. Nagroda literacka podzieloną została pomiędzy dwóch kompetentów: poetę prowansalskiego Fryderyka Mistrala i dramaturga hiszpańskiego Jose Echageray'a. Fryderyk Mistral zasłużył się niezmiernie ojczyźnie swojej przez rozbudzenie w niej odrodzenia literackiego, kiedy po dawnych wiekach chwały—sztuka i literatura Prowancyi popadła w ogólny zastój i niepłodność. Najznakomitszem jego dziełem jest poemat p. t: „Mircio“. Wspólnik jego nagrody Jose Echegeray przerzucił się jeszcze w swej młodości z karyery technika—do zawodu urzędniczego i został nawet ministrem. Zasługi jego atoli streszczają się w utworach dramatycznych, przypominających gienialnością i techniką Calderona, „zmodernizowanego“ wpływem Dumasa.

W niniejszym numerze podajemy portrety nagrodzonych laureatów na konkursie Nobla.



Laureaci fundacyi Nobla: José Echegeray.



Laureaci fundacyi Nobla: Lord Rayleigh.



75-letni jubileusz Zakładu dla głuchoniemych we Lwowie: Sala rzemiosł.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

14 (Ciąg dalszy).

— A któżby go też lubił? Żyje krzywdą ludzką i hańbą. Miałbym też i ja z nim rachunek, ale już zdałem na wolę bożą! Miałem się kiedyś ożenić, ej, już temu spore lata. Była to Kasia, dziewczyna uczciwa. Porwał, osromocił, aż ze wstydu umarła...

Zapłakał Krystyn i przerwał opowiadanie.

— Biedny człowieku — rzekła księżniczka ze współczuciem, — niechże was Bóg pociesza. Widzę, żeście zacni, uczciwi; ja wam nagrodzę hojnie tę troskliwą opiekę nad panem Walterem. Ale ja go tu zostawić nie mogę, ja go muszę zabrać ze sobą.

— To na nic, proszę waszej miłości; doktór go nie puści dobrowolnie, a przemocą także go zabrać nie można, bo tu ludzi dość na zawołanie, toby nie dali.

— Ale go też nie można zostawić, bo on tu nie wyzdrowieje nigdy.

— Jabym myślał inaczej. Panicz mnie lubi; usłucha zawsze i zrobi, co mu powiem. Ja go też wyprowadzę stąd potajemnie i pójdę z nim, dokąd wasza miłość każe.

— Doskonały pomysł — rzekła Gertruda.

— Ale potrzeba się spieszyć — dodała księżniczka.

— Zaraz nie można, rzekł Krystyn, bo teraz, przez kilka dni będą nas tu pilnowali bardzo.

— A gdzież go ukryjemy? — zapytała księżniczka Gertruda.

— Najlepiej i najbezpieczniej u nas, w naszym zamku. Mój ojciec najchętniej na to pozwoli i ukryje tak, że nikt go nie znajdzie — odpowiedziała Gertruda.

— Dziękuję ci, droga moja Gertrudo, najserdeczniej dziękuję. Jesteś dla mnie jak siostra najlepsza. A więc do dzieła.

— Ja to już wszystko ułożę z Krystynem, a Eryk będzie mi pomagał. Wszystko będzie dobrze.

— Zrobi się, zrobi; drogę do zamku Warburg znam dobrze. Trafię, panicza zaprowadzę. Będzie dobrze. Górą nasza.

— Dziękuję wam mój Krystynie.

— Zapukano do drzwi. Księżniczka spojrzała tkliwie na Waltera i rzekła:

— Chodźmy już, bo widać doktór się niecierpliwi.

Gertruda otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Spostrzegła to księżniczka i ciekawie na korytarz zajrzała. Eryk stał zmieszany, niespokojny, doktór Katzenberger poważnie nadęty, a między nimi złośliwie uśmiechnięty, słodziutki, uniżony marszałek Wurm.

Księżniczka skupiła w sobie energię i usunąwszy Gertrudę stanęła w progu. Marszałek posunął się ku niej.

— Proszę wyjść mości marszałku, tu do tego pokoju zabraniam panu wchodzić — rzekła księżniczka poważnie, stanowczo.

— Ale mnie zapewne wstępu nie zechcesz zabronić, — rzekła księżna, wychylając się nagle z poza drzwi.

Księżniczka cofnęła się milcząc. Księżna weszła i szyderczo spojrzawszy na Waltera, syczęco szepnęła do córki:

— Co za skandal! Jak mogłaś zapomnieć się do tego stopnia? Przekonałaś się chyba dostatecznie, że ten człowiek należy tylko do waryatów.

— Tak, przekonałam się, jak się ludzi zdrowych zamienia w szalonych. Ale nie byłoby tego, co nazywasz matko skandalem, gdyby nie było nikczemnych szpiegów, intrygantów w rodzaju marszałka Wurma.

— Zabraniam ci takich słów i takiego tonu — szepnęła księżna, a potem dodała głośno: Nadal będziesz miała towarzyszkę godniejszą mego zaufania, niż panna Warburg.

— Ujęła Elzę pod rękę i dumna, wyniosła, jak zwykle, wyszła z córką.

Na korytarzu rzekła do doktora:

— Pańskiego pacyenta przewiezie się do innego zakładu, aby go zabezpieczyć od szkodliwych dla niego odwiedzin. Marszałek Wurm zarządzi, co będzie potrzeba, a pan do tego zastosować się zechcesz.

Księżna wsiadła do powozu z Elzą i Gertrudą, drugi powóz czekał na Wurma i Eryka. Zaledwie Wurm wyszedł z zakładu i zdążał skwerem ku zajazdowi, wypadła Gabryela z nienacka, chwyciła go za ręce i wołała z całej siły:

— Czekaj, mam cię, nie puszczę. Zabierz mnie, pocoś mnie tu zostawił. Nikczemniku! chciałeś mnie zabić, utopić, tu zamknąłeś, dość tego, nie puszczę cię. Słuchajcie ludzie, ja Gabryela, jego żona, prawdziwa żona! Ratujcie, trzymajcie go, puśćcie mnie!

Wurm szamotał się, wyrywał, ale Gabryela trzymała go jak kleszczami.

— Hej, jest tam kto? — wołał Wurm — zabierzcie tę waryatkę!

Eryk przypatrywał się temu z widocznem zadowoleniem i nie spieszył na pomoc, aż przypadł przerażony dr. Katzenberger z dozorcami i odprowadzili Gabryelę do zakładu.

— Załóżcie na nią kaftan, zamknijcie za kratami. Takie niebezpieczne waryatki nie powinny swobodnie kręcić się i napadać ludzi. Zamknąć ją i nie wypuszczać, wołał ziejący złością marszałek.

— Pan marszałek tak srogi dla własnej żony!— rzekł Eryk szyderczo.

— Mój panie — zawołał Wurm z wściekłością — strzeż się! Czy nie wiesz pan, że ciężko można odpokutować, lekkomyślnie wypowiedziane słowo, które za oszczerstwo i obrazę poczytane być mogą. Zdaje mi się, że ten zbyteczny pobyt pański pośród obłąkanych, oddziałał na pana zaraźliwie.

— Nie unoś się pan daremnie, kochany panie marszałku — odpowiedział Eryk spokojnie, uśmiechając się przytem złośliwie — ja się pana nic, a nic nie boję, a na dowód tego podejmę najtroskliwsze starania, aby się dokładnie dowiedzieć, w jaki to sposób żona pańska znalazła się tutaj, chociaż przed kilku laty utonęła w jeziorze. Jedź pan sam, bo mnie będzie milej pozbyć się pańskiego towarzystwa i samemu wracać do stolicy.

— To rzekłszy, ukłonił się Eryk szyderczo i odwrócił z pogardą.

Wurm spojrzał za nim pełen wściekłej złości. Na pożółkłej twarzy osiadła mu zielonawo-sinawa plama, zęby się ścięły, oczy mu w słup stanęły. Przez chwilę nie mógł się opanować, bo wściekłość odbierała mu przytomność, aż wreszcie ruszył się z miejsca i wsiadł do powozu, przysięgając straszną zemstę Erykowi.

U zacnych ludzi.

Po usilnych zabiegach docucono Ryszarda. Rozwarł oczy, rozejrzał się dokoła i słabym głosem spytał:

— Gdzie Hania?

— Jest... jest, ale... niby na innej łodzi — odpowiedział niemłody już mężczyzna, patrzący miłościwie na Ryszarda. Dobijemy do brzegu, tam ją zobaczymy.

— Niechno się pan nie dźwiga — mówiła kobieta bardzo przyjemna, spoglądając na Ryszarda serdecznie, jakby po macierzyńsku — pan osłabiony, zmęczony.

— Hania! Hania! — szeptał Ryszard.

— Będzie dobrze, będzie; tylko spokojnie, powtarzali oboje i ów mężczyzna i owa kobieta.

Ryszard zawarł oczy jakby zamarł.

Przybili do brzegu. Ryszard nie mógł iść o własnych siłach, więc go przeniesiono do gospody w pobliskiej wsi. Po kilku godzinach spoczynku, snem wzmocniony, podniósł się Ryszard o własnej sile i z ciekawością rozglądał się i przypatrywał owej parze, co się nim tak serdecznie opiekowała.

— Gdzie Hania? Gdzie jestem?

— Pan się pyta zapewne o swoją młodziutką żonę, co? — prawda? No, no, pan Bóg wie, co robi, trzeba się zgadzać z wolą Bożą. Może ją Bóg ocalił tak, jak pana. Może. Trzeba mieć nadzieję, ufać Bogu! — mówiła łagodnie troskliwa opiekunka rozbitka.

— Więc jej nie ocalono? nie ma jej? Boże! pocóż ja żyję? — wołał Ryszard z rozpaczą.

— Ej, ej, mój kochany panie, dajno spokój! Jeszcze przecież nie pogrzebano ci żony. No, toć to rozmaicie bywa. Nieraz się zdarza w takich wypadkach, że opłakujemy kogoś, a on żyje, ocalony szczęśliwie. Jakże ci to na imię, kochany panie? — Tak przemawiał troskliwy opiekun rozbitka.

— Ryszard.

— Aha! A może nam powiesz nazwisko?

— Baron Steinfels.

— Baron Steinfels! O, znam, znam ten ród. Stara szlachta. Jeden ze Steinfelsów zdobył twierdzę za Karola V, jeden w wojnie trzydziestoletniej rozgromił dziesięciokroć liczniejszego nieprzyjaciela. O, jeszcze inni byli sławni, bardzo sławni. A no cieszę się, cieszę bardzo. Ja nazywam się Freudenberg, a to moja żona, z domu hrabianka Hohenau. Nasz ród Freudenbergów, jest także stary, szlachecki. Jeden z moich przodków wsławił się jeszcze za Fryderyka Rudobrodego.

Rozmowny pan Freudenberg musiał przerwać, bo właśnie przyniesiono winną polewkę dla Ryszarda. Pani Freudenberg zaczęła mu nalewać, podawać, studzić, a czyniła to, jak najtkliwsza matka.

— Posil się pan, to potrzebne, konieczne — mówiła pieszczotliwie. Dzięki Bogu, żeś ocalał. No, no pij pan, dobra polewka.

Ryszard był posłuszny; machinalnie spełniał. co mu polecono, bo osłabienie i niepokój o Hanię ubezwładniały w nim energię myślenia.

— Myśmy razem płynęli na owym rozbitym statku — mówił znowu pan Freudenberg. Tak razem. I widzieliśmy was dwoje młodych i spoglądaliśmy wciąż na was ciekawie. A wiesz pan dlaczego, kochany baronie? oto dziwne, niesłychane! Podobny jesteś do naszego syna, bardzo podobny. To szczególne. Moja matka była z domu baronówna Adlersfeld, a nasz syn był podobniutki do rodziny mojej matki, do Adlersfeldów. Jakie to dziwne. We wnuku podobieństwo do babki!

Pan Freudenberg tak się zagadał, że nie uważał, jak Ryszard drgnął, oczy rozwarł, jakby przerażony. Pani zajęta przelewaniem i studzeniem reszty polewki, również nie spostrzegła zaniepokojenia Ryszarda.

— Straciliśmy syna, jedynego syna i jedyne dziecko! — Zwiesił smutnie głowę i łza mu spłynęła po twarzy.

Pani Freudenberg odłożyła naczynie z polewką i poszła w kąt izby, gdzie chusteczką wycierała łzy w oczach.

— Ofiarowaliśmy Bogu cierpienia nasze — mówiła. Taka była święta wola Boża.

Nastała chwila milczenia.

Przerwał je poważny wieśniak, wójt tej wsi nadbrzeżnej, wszedłszy z dwoma innymi wieśniakami.

— No, i jakże tam? – zapytał pan Freudenberg.

— Ha, no, nie ma. Tylko dwa ciała znaleźli; jakieś dziecko i jakiś stary człowiek, ale kobiety żadnej — odrzekł wójt.

— A szukaliście dobrze?

— Ej, proszę pana — odezwał się jeden z towarzyszy wójta, a tażmy rybakami od dziecka i nie dziwno nam ratować rozbitków i wyszukiwać topielców. Szukaliśmy na wszelkie sposoby.

— Boże wielki! Nie ma Hani! Utonęła! — ryknął Ryszard tak żałośnie, tak rozpaczliwie, że nikt nie mógł słowa przemówić z żalu, a wszystkim łzy w oczach stanęły, nawet i rybakom, oswojonym ze śmiercią i torturą konania.

— Haniu moja! Haniu! — wołał Ryszard i wplótł palce we włosy i szarpał je nielitościwie. Czemuś mnie opuściła? Czemuście mnie wydarli z fali morskiej? Jabym z nią tam został, z nią, moją jedyną. Ja nie chcę bez niej żyć, ja nie mogę żyć bez niej. Wrzućcie mnie, wrzućcie w morze, zanieście mnie do niej, do mojej Hani, do mojej żony, do mojego szczęścia!

Pan Freudenberg chciał go uspakajać, ale jeden z rybaków pociągnął go nieśmiało za rękaw i rzekł z cicha:

— Dajcie panu spokój. Ja się na tem znam. Niech się biedaczysko wypłacze, wygada, to mu ulży. O, ja się na tem znam dobrze, znam! Dość się ja napatrzył takich łez, takich żalów, takich słów! To już takie to wybrzeże nasze, że nam co roku wyrzucają rozbitków. To matka chce się zabić z żalu za dzieckiem, to żona za mężem, mąż za żoną. Czasem sierota zostanie, a rodzice pójdą na dno. Ale cóż poradzić? Wola Boża! Dajcie spokój panoczku, niech się biedactwo wygada, wyżali, wypłacze. Będzie mu lżej.

Freudenberg podziękował wieśniakom, zapłacił im hojnie, a wójta poprosił, aby mu postarał się o wygodny powóz, aby mogli czemprędzej odjechać do miasta, gdzieby chory mógł znaleźć opiekę lekarską. A do miasta, gdzie była też stacya drogi żelaznej, były opętane trzy mile, bo ta wioska nadbrzeżna, te był prawdziwy zakątek.

Gdy się Ryszard cokolwiek uspokoił, rzekła pani Freudenberg:

— Pozwól pan, że cię zabierzemy ze sobą. Tu zostać nie możesz sam, bez opieki. Pojedziemy do miasta, a tam będzie lekarz i wygoda większa. Odpoczniesz, pokrzepisz się, i potem uczynisz, co zechcesz, co Bóg pozwoli. Skoroś tak podobny do naszego dziecka, to pozwól, byśmy się tobą, jak synem opiekowali. Tak kochany baronie. A wybacz, żeśmy ci może natrętni.

Ryszard spojrzał na tę zacną kobietę pełen wdzięczności, chwycił jej rękę i przycisnął do ust i ucałował po synowsku.

W kilka godzin potem wyjechali.

W ciągu dwóch dni odzyskał Ryszard siły. Wiara głęboka, wpojona weń przez uczciwe wychowanie, była dłań dźwignią w rozpaczy. Tej wiary strzegł pilnie i ustrzegł jej szczęśliwie przed temi wpływami zepsucia, które tyle żywotów cisnęły w kałużę życia przez to, że z serca wiarę wydarły. Wiara ma siłę słońca, siłę dającą życie. Bez słońca nie żyje organizm, bez wiary nie żyje duch ludzki. Ryszard zdał wszystko Bogu, a w zamian za gorące modlitwy, Bóg go natchnął nadzieją, że Hanię odzyska. Smutny był Ryszard, ale nie rozpaczał. Jakiś głos mu szeptał: żyje!

Freudenbergowie ucieszyli się, widząc Ryszarda ocalonego już zupełnie i pokrzepionego po strasznem nieszczęściu, którego doznał.

— No, teraz już możemy myśleć o przyszłości, odezwał się Freudenberg. Wspomniałeś nam baronie, że miałeś zamiar szukać gdzieś zajęcia w gospodarstwie.

— Tak istotnie. Stosunki moje tak się ułożyły, że muszę sam na siebie pracować, a że kształciłem się na rolnika, więc i takiej posady szukam, gdziebym z mych studyów mógł korzystać.

— A to dziwne zrządzenie Boże! — dodała Freudenbergowa.

— O czem państwo mówicie? — zapytał Ryszard.

— Ot, dowiesz się o wszystkiem. Powiem ci potem kochany baronie, a teraz pozwól, bym ci uczynił propozycyę.

— Służę panu, proszę, jaką?

— Abyś z nami pojechał i objął zarząd naszego majątku, jako rządca, a raczej jako przyjaciel, jak syn własny. Co? hę? dobrze?

I rozwarł ramiona, jakby chciał Ryszarda przytulić do serca, a Ryszard rzucił mu się na piersi, ze łzami wdzięczności.

— Jestem na wasze rozkazy, zacni ludzie, będę wam służył wiecznie, jak syn.

Po tygodniu już Ryszard zajmował się gospodarstwem u swoich opiekunów, a z każdym dniem, z każdą godziną stawało mu się tu coraz bardziej swojsko, ciepło, rodzinnie. Nietylko sami państwo Freudenbergowie, ale nawet ich oficyaliści, ich służba, otaczali Ryszarda wielką życzliwością, bo dobry był i uprzejmy dla wszystkich, chociaż obowiązki swoje wykonywał bardzo ściśle i tej ścisłości od podwładnych się domagał. Starsi ze służby, co znali zmarłego syna swoich państwa, z przyjemnością spoglądali na nowego plenipotenta, co im tak żywo młodego pana przypominał.

Pan Freudenberg opowiadał Ryszardowi o sprawach rodzinnych, jak syn jego jedynak, będący oficerem w rezerwie zginął na wojnie, zdobywając w czasie bitwy nieprzyjacielski sztandar i jak ciężką była żałoba rodziców. A potem wkrótce synowa powiła synka i z żalu za mężem umarła. Został im ten wnuczek maleńki, jedyne szczęście, jedyna nadzieja, jedyny spadkobierca wielkiego majątku i jedyny dziś Freudenberg.

— Freudenbergów właściwie dwóch nas pozostało, a to ja stary i to wnuczątko, ten mój ukochany Frycek. Jest jeszcze jeden, mój bratanek, ale...

Nie dokończył Freudenberg, bo wszedł Hans, wierny sługa, od lat trzydziestu będący lokajem, a po części powiernikiem i przyjacielem swego pana. Człek rosły, barczysty, silny, o spojrzeniu łagodnem, poczciwem, chociaż energicznem.

— Pan baron chciał sobie wybrać konia wierzchowego. Właśnie przyprowadził Ignacy dwa cztero latki z folwarku, możeby pan baron obejrzał.

Ryszard lubił namiętnie jazdę konną i konie, więc też czemprędzej wybiegł. Przed pałacem, w około gazonu, oprowadzał służący dwa piękne konie, pół araby. Nie były jeszcze ujeżdżone, z czego Ryszard bardzo się cieszył, bo sam sobie konia ujeździć pragnął. Dosiadał to jednego, to drugiego. Bardziej mu przypadł pod siodło kary czterolatek, więc go dla siebie zatrzymać kazał.

Freudenberg przypatrywał się i uśmiechał radośnie widząc, jak Ryszard dobrze w siodle siedzi, jak stanowczo panuje nad ruchami konia. A i Hans spoglądał z boku i także się cieszył.

— To jakby nasz panicz — rzekł po cichu do swego pana.

— A, a, tak mój kochany, prawda. Nawet w tem podobny.

— Musi być poczciwy, bardzo poczciwy.

— A, a, tak mój kochany. Poczciwy, poczciwy, bo kto lubi konie i jeździ uczciwie, to i sam uczciwy.

— Proszę jaśnie pana, to stara rzecz, stara jak świat, że kto nie lubi psów, koni, kwiatków i dzieci, to ma duszę z piekła rodem.

— Prawda stary, prawda. Nasz to wszystko kochał, wszystko! Mój Boże! A i Frycek będzie kochał, co? hę?

— A cóżby nie? Młodszy paniczyk to już teraz do konia się śmieje.

Gwarzyli jeszcze stary sługa ze starszym panem, a Ryszard wypróbowawszy wybranego konia, zeskoczył z niego zgrabnie i pospieszył do Freudenberga.



Czekaj, mam cię, nie puszczę!..

— Ślicznie, równo się wyciąga, kłusem, tak jakby płynął.

— Cieszę się, mój baronie, że tak lubisz jazdę konną. Ba! za młodu, to ja pół życia trawiłem na koniu. Mój syn także tak. To wszystkie Freudenbergi. Ej, właściwie powiem: to każdy porządny szlachcic przepada za koniem. A jak się jaki znajdzie, co tego nie lubi, to pewnie drab, wyrodek. Jest nawet taki w naszym rodzie, niestety, jest. Bo to widzisz prócz mnie i Frycka, jest jeszcze jeden Freudenberg Edward, ale lepiej, żeby go nie było. To syn po moim bracie, jedynak. Rodzice nie żyją, ja się nim opiekowałem, chciałem mu pomagać, aby spuścizny po rodzicach nie zmarnił, byłbym mu nawet coś dodał ze swego, ale chłopczysko, urwipołeć, szaławiła, stracił cały majątek, narobił długów, pozarywał ludzi, podobno nawet i przed kratkami stawał i poniewiera się gdzieś po świecie. Mówiono mi, że siedział w kryminale, że sprzągł się ze złodziejami i mordercami, ale co temu, to już nie wierzę. E, e, gdzieby znowu tak bardzo się zapomniał. Ja myślę, że może się przecie wyszumi i ustatkuje. Ale co narobił wstydu rodzinie, to narobił. Od kilku lat jakoś nic już o nim nie słychać. Ha! może tam w Ameryce mu się poszczęści. Ostatni list pisał przed kilku laty i prosił o pieniądze na drogę do Ameryki. Ha, no, posłałem. Ale mnie to dziwi, że żadnej o sobie nie daje wiadomości.

— A szukam i szukam moich panów, a wy tu gwarzycie, — odezwała się Freudenbergowa, wyszedłszy przed pałac. Chodźcież obejrzeć apartamenty Ryszarda, bo już wszystko urządziłam. Wyznaczyłam mu pokoje, które Edward zajmował.

— A jeżeli Edward wróci?

— A dajże też spokój! Niech nas Bóg broni od jego powrotu! Małoż to było z nim przykrości? Że jeszcze o nim myślisz?

— Moje dziecko! Wszakże to syn po rodzonym, jedynym bracie, a sierota bez ojca, bez matki. Wstyd z nim rodzinie, to prawda; takiego Freudenberga nie było jeszcze w naszym rodzie, ale „nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni“. Może też Bóg go oświetlił i charakter mu umocnił. W Ameryce lekko żyć nie można; nauczy się tam pracować, oszczędzać, może też czego się dorobi. Może, może! Bóg łaskaw. A nuż wróci do nas porządnym człowiekiem i zmyje wszystkie młodzieńcze wybryki.

— To nie wybryki, ale hańba, co on czynił.

— Ej, ej, moje kochanie, nie możesz mu tego zapomnieć, że ci raz klomby poniszczył i kundysowi tabaki do nosa nasypał, aż się psisko o mało nie wściekło.

— Byłoby to najmniejsze; ale tego mu nie zapomnę, żeś przez niego chorował śmiertelnie, gdyś popłacił fałszywe weksle. To fałszerstwo tak cię zgnębiło, że... Boże wielki! Nie chcę wspominać tej chwili, jak krzyknąłeś: „Freudenberg fałszerzem weksli, oszustem, złodziejem“ — i padłeś jak martwy! Że cię Bóg dźwignął, to cud prawdziwy; a wszyscy lekarze tak mówili, bo to przecież był udar serca, po którym się nigdy prawie nie wstaje.

— No, no, było, przeszło.

— Tak, było, przeszło — ale niechże już nie będzie. Ryszard zajął owe pokoje, bo tam mieć będzie najwięcej swobody i wygody.

Poszli wszyscy troje do siedziby Ryszarda. Rozrzewniony tułacz troskliwością, dobrocią i delikatnością Freudenbergów, ucałował rękę macierzyńską zacnej kobiety i uściskał po synowsku poczciwego jej męża.

I było mu tu dobrze, dobrze, coraz lepiej, ale gniotła go ciężka żałoba po Hani i niedająca się ukoić tęsknota za nią. A nękało go też i to, że u tych zacnycn ludzi przebywał pod przybranem nazwiskiem, że ukrywa przed nimi tajemnicę, którejby właściwie mieć nie powinien. Dręczyła go też obawa, aby sądowy pościg tu go nie znalazł, ani odkrył. Więc dobrze mu tu było pośród zacnych ludzi, ale nie wesoło.

Na książęcym zamku.

Na książęcym zamku ogromny powstał zamęt, gdy się dowiedziano o morganatycznych zaślubinach następcy tronu. Panujący książę o mało życiem nie przypłacił tej wieści. Przez kilka godzin wysilali się najdzielniejsi lekarze, aby ocalić życie monarchy, dotkniętego śmiertelnym prawie udarem. Matka następcy tronu we łzach się prawie rozpływała. Księstwo czynili dotkliwe wyrzuty marszałkowi, że nie zdołał zapobiedz na czas skandalowi. Cały dwór książęcy sarkał głośno, a ludzie poważni, będący u steru państwa, z obawą największą myśleli o przyszłości. Co to będzie z powagą państwa i dynastyi, co z rządem kraju, co z opinią publiczną?

Na domiar tego wszystkiego, nie było księcia Ferdynanda przez dwa dni w rezydencyi. Domyślano się, że bawi u boku Klary, ale oburzano się tem bardziej, że nawet nie stara się ukrywać tego skandalu, którego się dopuścił.

Gdy po dwóch dniach wrócił, wezwał go ojciec do siebie. Rozmowa musiała być bardzo poważna i stanowcza, bo i dość długo trwała i książę wyszedł z gabinetu przygnębiony. C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy zajęci niszczeniem drutów kolczastych, tamujących dostęp do fortów portarturskich.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Niszczenie drutów kolczastych. Wojna rosyjsko-japońska nie wykazuje na terenie mandżurskim jakichś wybitnych postępów. Nad rzeką Szaho stoją obie armie, otrzymując bez przerwy coraz to nowe posiłki.

Prócz ostrzeliwania wzajemnego pozycyi, do ataków ogólnych nie przychodzi wcale. Wiadomości są skąpe, gdyż jenerałowie rosyjscy są w swych depeszach coraz powściągliwsi. Za to w Porcie Artura zdobycze japońskie idą szybkim krokiem naprzód.

Podkopy podchodzą już pod główne forty. Pagórek 203 m., bardzo ważny, w rękach japońskich. Doniesienia o ciągłych postępach nadchodzą z każdym dniem.

Oblężenie Portu Artura napotyka na ciągłe przeszkody. Do takich przeszkód należą między innymi wilcze doły, druty kolczaste, miny podziemne i t. p. Niszczenie takich drutów kolczastych należy do największych przeszkód. W dali widzimy góry Smocze, pamiętne tylu krwawemi utarczkami Japończyków. Naokoło nich ciągną się pierścienisto ukopane szańce, poza którymi ukryła się załoga forteczna i strasznym ogniem raziła napastnika. Co chwila pokazuje się z nad okopów biała kula dymu, zwolna rozszerzająca się, podnosząca w górę i rozwiewająca w czystym jak kryształ powietrzu. Z tej kuli białej wylatują granaty, które tu, na skłonie pagórka, zabijają ludzi i rozrywają ziemię. Rycina nasza przedstawia niszczenie obronnego opasieczenia, jakie założyli Rosyanie na górze, chcąc tym sposobem utrudnić armii oblężniczej dostanie się na szczyt pagórka. Widzimy więc pierścień, złożony z czterech szeregów kołów, pospinanych kolczastym drutem; pierścień opasujący szczyt pagórka, na który chcą się dostać Japończycy, by na nim ustawić swe armaty, mające za cel ostrzeliwanie przeciwległych okopów i bateryi. Dla atakującej piechoty opasieczenie takie przedstawia przeszkody nie do przebycia. Wysokość kołów przewyższa wysokość człowieka, a na tej całej wysokości jeżą się swymi kolcami splątane pasma drutu. O skoku niema mowy. O podejściu również, węzły zbyt są blisko i ciasno rozmieszczone. Pozostają dwie drogi, albo przecinać druty odpowiedniemi nożycami, albo wysadzać granatami ręcznymi, umieszczonymi na wysokich drągach. Przecinanie nożycami jest równie niebezpieczne, jak i próby szczeblowania przez druty.

W jednym i drugim razie żołnierze muszą się zatrzymywać nad przeszkodą czas dłuższy, co daje już wyborny cel ukrytym za okopami strzelcom, którzy nadto wyuczyli się już przedtem nastawiać karabiny na ten cel i odległość. W tych warunkach straty muszą być wielkie.

Pozostaje droga druga, bezpieczniejsza i pewniejsza. Właśnie tę drugą drogę obrali Japończycy.

Garść żołnierzy uzbroiła się w drągi, opatrzone na końcach materyałami wybuchowymi i zbliżyła się, przyczołgawszy się aż pod sam płot. W pozycyi leżącej łatwiej się ukryć, niż w stojącej — dlatego też i zyski tego rodzaju zwalczania przeszkód są większe.

Niech tylko choćby w jednem miejscu zdołają przerwać opasieczenie, to już wyłomem tym pójdzie piechota łatwo do ataku. Rzeczywiście dwaj żołnierze z naszej ryciny zdołali rozszarpać połowę kolczastej przeszkody.

Innym wiedzie się gorzej. Oto druga para na lewo padła trafiona kulami. Może granat i pęknie, ale niekierowany ręką żołnierza wyrządzi mniejsze szkody. Na prawym planie drąg porzucony a żołnierz wbity granatem w ziemię, rozszarpany wybuchem pocisku, głowa zmiażdżona, ręka oderwana.

Lecz oto najniżej, niczem nie stropiony zapala nowy bohater swój lont, a najbardziej na lewo wysuwają się coraz to nowe drągi niszczące z zapalonemi głowniami ku płotom, podobne do wychudłych ramion niewidzialnych szkieletów.

Zajęcie pozycyi nad Szaho. Nad Szaho stoją dwie armie milczące. Posiłki dążą ze wszech stron. Zagęszczają się siły bojowe. Umacniają się rowami, fortami, budują nory podziemne i czekają. Nie spieszno im do rozlewu krwi.

A teren piękny. Niestety dziś on przeznaczony



Z wojny ros.-jap.: Oficer japoński broni się przeważającym siłom rosyjskim.



Z wojny ros.-jap.: Dywizya rosyjska zajmująca pozycye w dolinie rzeki Szaho.

nie dla turystów, podziwiających piękno natury. A piękną ona jest tam nad Szaho w istocie.

Szereg wielkich pagórków ciągnie się jedną ławą w dal. U stóp tej ławy rozpościera się szeroka polanka, na której rozwinęła się dywizya rosyjska. Jedno wielkie mrowie głów ludzkich.

Czapki bieleją niby łan stokrótek. Szeregi maszerujące w rozwiniętej linii podobne są do wielkich progów, tamujących zbyt wartki prąd górskiego strumienia. Idą bez końca na rozkaz ukrytych sił, nie wiedząc po co, bez zapału, pędzone grozą i nahajką. Za wojskiem wloką się kibitki, wiozące chorych i bagaże, kibitki nam Polakom dobrze znane.

W bok od głównego traktu wojsk spoczywa starszyzna. Żołnierze zsiedli z koni, czekają, rozglądają się w nowym i obcym dla nich kraju, z którego tylu nie wróci, bo tak każe rozkaz cara. A car też musi słuchać ślepych i ciemnych mocy, ukrytych w łonie ciemnego ludu — bo taki car, jaki lud.

Bohater kosooki. To oczywiście Japończyk i to oficer japoński. Że Japończycy nie chowają się po kątach podczas bitwy, to wiemy, ich szalona odwaga i gotowość do poświęcenia życia każdej chwili — jest również znana. Rycina przedstawia nam właśnie taką chwilę, w której oficera japońskiego zaskoczyły przeważające siły rosyjskie. Cała czerń wrogów leci na niego z najeżonymi bagnetami. Japończyka przedstawił artysta lecącego w pełnym rozpędzie naprzód. Właśnie ciął pierwszego z napastników tak straszliwie, że ten z przeciętą piersią padł na ziemię i broczy we krwi. Padając uderzył kolbą własnego towarzysza i ten też stracił równowagę i spada z wierzchołka skały.

Trzeci padł na bok, ale jeszcze w tem położeniu pchnął karabin naprzód, kierując bagnet w pierś oficera, ale ten już chwycił lewicą za lufę, a prawicę uzbrojoną w szablę podniósł do cięcia. Chwila ta jest pełną naprężenia. Bo oto jeszcze cztery inne bagnety wysuwają swe jadowite żądła ku napastnikowi. Czyż sobie z nimi da radę? Jeszcze krok, jeszcze chwila, a wszystkie cztery będzie miał w swej piersi utkwione. Ale szczęście wojenne jest pełne kaprysów. Ten się potknie, ów chybi — a razy szalonego migają z błyskawiczną szybkością. Nadto tam z prawicy bieży już na pomoc oficerowi swemu cała rota Japończyków. Poznajemy ich po czapkach, strojnych angielską modłą i po zasłonach, spadających z pod czapek na szyję. Artysta umyślnie przedstawił na obrazie chwilę oczekiwania. Nie wiadomo po czyjej stronie przewaga, nie widać kto tu będzie zwycięzcą. Szale wprawdzie zdają się przechylać na stronę Rosyan, którzy są w przeważającej liczbie — ale fortuna wojny jest kapryśną. I w tem też oczekiwaniu, w tem napięciu nerwów, w tem niezdecydowaniu, jakie artysta przedstawił na rycinie, leży wartość tej ilustracyi wojennej. Taką chwilę spotkamy jeszcze nieraz na obrazach — bo jestto ulubiony temat artystów: to zawieszenie ciekawości widza, to trzymanie jego ciekawości w naprężeniu.

Bohaterski czyn oficera rosyjskiego. Illustracya nasza przedstawia wyjątkowy czyn, jaki spełnił pewien oficer rosyjski, podobno nawet Polak, który to czyn można bez przesady nazwać bohaterskim. — Oto padł oficer japoński, rażony granatem, wystrzelonym z fortu. Rannego unieść, to jeden z najpiękniejszych obowiązków żołnierza. Unieść, to jest ochronić go od dalszych kul, t. j. przynieść mu pomoc, jakiej może potrzebować, a więc zatamować krwotok, może wyjąć kulę, może założyć opatrunek, złożyć napowrót złamaną kość, usunąć zwichnięcie. A przedewszystkiem ukryć go na miejscu bezpiecznem i oddać w ręce lekarzy i sióstr miłosierdzia. Właśnie o to chodziło na rycinie. Oficer japoński dokazywał cudów waleczności, szturmując wraz z swą rotą ów głośny pagórek dwustu trzech metrów. Ataki nie udawały się, ginęły szeregi za szeregami, żołnierze padali jak muchy. Padła rota, został tylko oficer, nie zważając, że teraz przyszła kolej na świeże siły i że on może już odpocząć, przyłączył się do tych świeżych sił i walczył znowu. I drugą rotę wybito do nogi. Oficer i tym razem ocalał. Szła trzecia rota I do niej przyłączył się nieustraszony szermierz. Trzecia rota padła jak poprzednie — ale tym razem kule nie oszczędziły śmiałka. Padł przeszyty kilkunastu strzałami. Rosyanie sami przyznawali, że Japończyk dokazywał cudów męstwa. Chcąc tedy dać wyraz swemu podziwowi, podjął go oficer rosyjski i uniósł własnoręcznie z pola walki. Tę chwilę przedstawił właśnie ilustrator. Zaś rowem idą gęsiego żołnierze japońscy i salutują. Jeden z nich wyciąga rękę do góry, jakby prosił, by mu



Z wojny ros.-jap.: Biwaki japońskie podczas bitwy.



Z wojny ros.-jap.: Oficerowie rosyjscy zabawiający się przy szampanie w Porcie Artura.

rannego oddano i pozwolono nieść dalej. A wyżej, ku szczytowi pagórka, pełno ciał martwych. Co krok, to trup. A w dali forty dymiące wybuchami, groźne, siejące zniszczenie. Nawet obłoków nie pozostawiono w spokoju. I one, kulom dostępne i ziejące granatami. Właśnie nad głową bohatera pęka granat. I któż zgadnie, może jeden z odłamków trafi, na domiar tragiczności, rannego wraz z bohaterem.

Przy szampanie. Huczno tu w tej restauracyjce i wesoło, któżby pomyślał, że to Port Artura? Petersburg prędzej, znane salony Pałkina, święto wojskowe, galówka — tylko nie wojna, nie twierdza i nie oblężenie. A jednak tak jest. Oblężenie i szampan, wojna i pianino, huk armat i dźwięk bałabajki. Dziesięciu eleganckich oficerów lśniących od złota i szamerunków zabawia się grą i śpiewem. Mały duecik, pianino z bałabajką. Przytem szampan i poncz. Nie brakuje i fox-terriera. I on zdaje się brać udział w tej uczcie.

Jutro szturm świeży — jutro znów zahuczą armaty, zabrzmią dzikie okrzyki bojowe, znów trzeba będzie wystawić pierś na nieprzyjacielskie kule i bagnety – jutro śmierć blada zaglądnie w oczy, a może nietylko zaglądnie, lecz zamknie je na wieki.

„Dziś“ do nas jeszcze należy, „jutro“ w rękach tajemniczego losu. Więc z tego dzisiaj korzystają rosyjscy oficerowie. Spiewnm muzyką i winem bawią się w gwarnej wesołości szukając zapomnienia o krwawem „jutrze“, którego groźne widmo unosi się w powietrzu.

A jednak ta wesołość nosi w sobie jakieś piętno rozpaczy. Czuć, że pozatem lekceważeniem życia i jutra, kryje się troska o tajemnicze niepewne jutro; czuć, że każdy z uczestników tej biesiady, myśli o tem, jaką los zapisał mu przyszłość...

Tym razem hulanka czysto kawalerska. Słyszeliśmy i naczytali się dość, że innym razem bawiono się i z paniami.

A było to wtedy, gdy Japończycy zniszczyli pierwszą flotę. Ot, szeroka natura słowiańska. A pisząc te słowa przypominamy sobie, ile to razy i my w podobnych okolicznościach się znajdywaliśmy. Hulanka też dużo nas kosztowała, zamiłowanie do muzyki, kart i miłości. I my traciliśmy forty z tych samych powodów — a chociaż, opamiętawszy się, braliśmy je napowrót szturmem, to jednak straty już się niczem powetować nie dały. Rosyanie przechodzą dziś te same doświadczenia. My już zmądrzeli, nam by się to już drugi raz zapewne nie przytrafiło.

Ale i Rosyanin także podobno mądry po szkodzie. I służba dziś inaczej idzie i wywiady i administracya. Ale poprawa nie przychodzi odrazu. Japończycy jnż z usposobienia są inni., skupieni w sobie, chytrzy, rachujący z matematyczną ścisłością — umieją panować nie tylko nad swymi rachunkami, lecz i nad swą radością i nad swą żądzą życia. Przewidują zawsze naprzód i zawsze są na wszystko przygotowani — a choć i oni nie gardzą szampanem — to jednak używają go w porę, nie gardzą i muzyką, ale gdy już są pewni i bezpieczni. I dlatego ich koncertów nie przerywają kanonady jak tego, który właśnie mamy przed oczyma.

Biwaki japońskie podczas bitwy. Garstka Japończyków rozbiła obóz pod gołem niebem. Jest wprawdzie coś podobnego do namiotu, ale to raczej marny szałas, nie mogący dać żadnej wygody strudzonemu walką żołnierzowi. Przedstawia on [illegible]e niedogodności, ani [illegible] deszczu, ani od wiatru nie chroni jak należy — ale jakiekolwiek byłyby jego wady i błędy, niepodobna było Japończykom użyć innego sposobu obozowania, mianowicie pod namiotami, z powodu tej niesłychanej ruchliwości i szybkości, jaką się odznaczają bitwy nowożytne, a zwłaszcza z powodu tych niespodzianek, jakie cechują właśnie tę wojnę rosyjsko-japońską, pełną napadów nocnych, utarczek, mylących czujność i tym podobnych nagłych ataków. Widzimy więc żołnierzy japońskich, jak w takim obozie pod gołem niebem spoczywają ubrani, z bronią przy boku, już to około rozłożonych ognisk, już też pod szałasami zbudowanymi własnym przemysłem. Krajobraz górzysty, mgła i wilgoć. Żołnierze są widocznie zmęczeni i sterani niewygodami. Widzimy, że ich energia narazie się przyczaiła, postawa żołnierska, z jakiej w szeregu są znani i podziwiani, ustąpiła miejsca pewnemu rozleniwieniu i opuszczeniu skrzydeł. Kołnierze podniesione do góry, kaptury nasunięte na głowy. Jedni na kuczkach, drudzy siedzą na pniakach, inni wpół leżący. Ci warzą czaj, tamci przyprawiają ryż, inni jeszcze wpół drzemią. Część stoi na czatach. Co prawda, takie biwakowanie, czyli obozowanie, pod gołem niebem przedstawia zwłaszcza dla zdrowia wiele niebezpieczeństw. Niebezpieczeństwa te są jeszcze groźniejsze, jeśli jak właśnie teraz, w Mandżuryi pora roku i zmiany ciepłoty przedstawiają tyle zmian i nieregularności. To też wieleby dali ci biwakujący żołnierze gdyby mogli zamienić te swoje biwaki chobiażby na najgorszą kwaterę. Lecz darmo. Gotowości do boju wymaga od nich dzisiejsza wojna. Nie ma czasu na szukanie kwatery. Parę kołków, czy drągów kawał płachty na wierzch, trochę chrustu i zeschłych traw pod spód i schronisko gotowe.

Nie można też było wybierać lepszego miejsca, najprzód dlatego, by się zbyt daleko nie oddalać od swego pułku, który właśnie tysiąc kroków za górą walczy, a Japończycy biwakujący z tej strony muszą na każde zawołanie wrócić do niego z powrotem. Do tego powrotu jest im potrzebna dobra droga, którą w tym wypadku mają. Wiedzie ona na lewo, koło dalszych namiotów łukiem naokoło góry.

Mogą się więc szybko zebrać i podążyć do swoich. Miejsce, w którem mają walczyć znajduje się niedaleko — więc bez zmęczenia mogą się tam dostać w krótkim czasie. Do zalet tego chwilowego obrazu należy i to, że ich nieprzyjaciel widzieć ani ostrzeliwać nie może. W bliskości znajduje się rzeczułka dostarczająca im wody. Hale pośród pagorów dostarczają słomy i trawy; zarośla nad rzeką obfitują w drzewo. Wszystkiego tego Japończycy potrzebują i wszystko to mają na miejscu.

Biwaki dobrze jest stawiać na brzegu lasów i wsi, bo chronią od wiatru i niepogody, zaś w razie potrzeby może się w nich piechota chować bezpiecznie.

Potrzebują też żołnierze, szukający odpocznienia w biwakach suchego podłoża. Przeto łąk do tego celu wybierać niepodobna. Jak widzimy na rycinie podłoże namiotu Japońskiego, oraz cała okolica wydaje się suchą. Jest trochę wydmą piaszczystą, a trochę ścierniskiem. Łąka, choćby się wydawała zupełnie suchą, wydziela zawsze zwłaszcza w nocy sporo mgły i wilgoci. A taka noc przepędzona na ziemi wilgotnej i niezdrowej, może przynieść żołnierzom więcej straty niż gwałtowna walka. W toku wojny rosyjsko-japońskiej słyszeliśmy też istotnie o wypadkach malaryi, tyfusu i innych chorób, które mogą pochodzić z takiego niezdrowego obozowania. Takie biwaki muszą też być strzeżone na zewnątrz. A zarazem dla utrzymania porządku na wewnątrz służą warty wewnętrzne.



Z wojny ros.-jap.: Żołnierz rosyjski unosi rannego oficera japońskiego z pola bitwy.

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smólskiego.

5 (Ciąg dalszy.)

Wy może — woła ks. Newełyczko — ale ne lid polskij, a bez neho wy niczewo.

— Nie powinniśmy się wstydzić — ciągnie dalej Nadymalski — że jesteśmy Słowianami, ale nie możemy się tem także chlubić. My w przeszłości swej i teraźniejszości mamy takie zasoby siły moralnej i materyalnej, że nie potrzebujemy sojuszników.

— A banzaj!... — odzywa się głos ze zgromadzenia.

Nadymalski: Na tem stanowisku nie wypieramy się wprawdzie dalekich krewnych, ale trudno wymagać, żebyśmy żyli z nimi za pan-brat i zniżali się do ich poziomu.

— Hospodyne Korpacz, majete koronku, bo muszu jemu — woła ks. Newełyczko — skazaty, szto durnyj pip jeho hrestyw...

Wszczyna się ogromne zamieszanie. Nadymalski z podniesionemi do góry pięściami zeskakuje z mownicy, dążąc wprost ku ks. Newełyczce. Gdyby nie przytomność umysłu kilku sąsiadów, którzy stanęli żywym murem pomiędzy obydwoma, byłoby niezawodnie przyszło do starcia. Ks. Newełyczko stał już w wojennej pozycyi, trzymając stołek w ręku, co pani Marya Kazimiera spostrzegłszy, dostała z przerażenia spazmów, wybuchając w głośne łkanie.

Nadymalski, odgrażając się i złoszcząc, opuścił zgromadzenie wraz ze stronnictwem swojem, którego przedstawicielem był jego prowizor aptekarski Kurzmayer.

Scena ta wywołała pewien rozstrój, wobec czego Seydel widział się zniewolonym dać głos cyganom dla rozweselenia towarzystwa, którzy dziarsko zagrali marsza Rakoczego.

Jasio wzniósł rymowany toast pań, na co dziękczynnie odpowiedziała panna Aniela Dusimiechówna, a gdy wrócił dawny nastrój przystąpiono do porządku dziennego.

Zabiera głos czwarty kandydat, Gniewomir Znicz, rzecznik wzajemności katolickich ludów słowiańskich, czyli „cyrylo-metodyzmu“. Mówi z namaszczeniem.

— Wiecu przesławny! Jak w zamierzchłej dobie dziejowej praszczurzy słowiańscy chadzali na wici i wodzili woje, tak samo my, dziatwa Sławy, wiecujem dziś i wiedziem woje w pole walki wyborczej...

Czernohus woła: Duże fajno!

Znicz: Od czasów Karola Wielkiego, a prawdopodobnie daleko wcześniej jeszcze nieprzejednany wróg niemiecki tępi wciąż po dziś dzień ziemie słowiańskie ogniem i mieczem. Jedyna broń nasza przeciw groźnemu najazdowi wroga: wzajemność słowiańska, lecz nie ta, co się zowie panslawizmem, tylko ta, która łączy ludy słowiańskie w jedności z Rzymem...

Ks. Newełyczko: A my?

Znicz: Wzajemność Słowian-katolików, oparta na cyrylometodyzmie i kulturze zachodniej, potępiająca herezyę liturgii słowiańskiej, musi walczyć równocześnie na dwa fronty: przeciw germanizacyi i prawosławnym Słowianom. Punklerzem naszym idea Cyrylo-metodejska, oznaczająca pogłębienie treści duchowej narodu światłem wielkiej idei religijnej i dziejowej. Należy nam prowadzić propagandę na wschodzie i północy, by odszczepieństwo pojednać z kościołem. Jedność z Rzymem, pontyfikat rzymski...

Ks. Newełyczko przerywa: *Łatyna, zapadnaja kultura, to trutka dla Sławian* — ciągnąc dalej po polsku: Niemcy kpią sobie z takiej wzajemności słowiańskiej. Patrzcie, co w Prusach, zjadają was Niemcy na podwieczorek.

Znicz: Ja mam przecież głos...

Czernohus woła: Wszyscy Słowianie prawosławni niepodlegli, a katolicy co?

Ks. Newełyczko: A co z Ślązkiem, Prusami, Pomorzem, Obotrytami, Połabianami? kto ich poniemczył, jak nie kultura zapadna i katolicyzm. Kto kolonizował te ziemie Niemcami, jak nie klasztory katolickie i zachodnią kulturą przejęci słowiańscy książęta panujący. Ślązcy Piastowie, Niklotowicze, rodzinni książęta pomorscy, rajniańscy...

Znicz, któremu wciąż przerywają, traci cierpliwość i opuszcza mownicę.

— Piękny parlamentaryzm — powiada z gniewem. Proszę niech ksiądz dziekan kandyduje. Ja dalej nie będę mówić.

Br. Seydel prosi, by mówił dalej, bo on trwa przy swojem, wobec czego nie pozostaje mu, jak udzielić głosu następnemu kandydatowi, Spirydjonowi Hawryłowiczowi Czernohusowi.

Odzywa się on w te słowa:

— *„Wysoko błahodarnyje hospodynowe! Bida wełykoja na siem miri — wsio zbuntowałoś, małodszi ne chotiat słuchaty starszich. Jajco mudrejsze od kuricy. Pućwirki...*

Korcowy odgraża się: *Ho!... ho! my wam pokażem!*

Dzwonek prezydyalny uśmierza wybuch, mowca może mówić dalej.

— *„Pućwirki wereszczat. W kraine bez pana, żeda.*

Jojne: Wie hajst?

Czernohus:... *i bez popa. Bez popa nema carstwa nebeskoho i spasenja. Sowremiennyi pućwirki prekrasno nam błahodarjut za naszoju praciu nad ludom, sztośmy ho uczyły, że suszczestwujet.* Duraczeskaja pucwirskaja, *„suspilnist“*...

Korcowy z dwoma towarzyszami poczyna ogromny krzyk i wrzawę. Przewodniczący dzwoni, upomina napróżno. Korcowy nie chce go dopuścić do słowa. Gdy Czernohus zaczyna mówić — bębnią ukraińcy pięściami w stół i gwiżdżą. Pani Marya Kazimiera stwierdza, że to „parlament wiedeński“. Wobec obstrukcyi prezydyum bezsilne. Br. Seydel giestami radzi Czernohusowi opuścić mownicę, co ten po chwili czyni.

Cyganie znowu interweniują kołomyjkę. Następują dwa toasty, poczem ludowiec Dębczak przemawia:

— Łaskawe zebranie! Powiem krótko i węzłowato. Wszystko dla ludu i przez lud. Leżymy żywi w grobie, bo brak nam siły żywotnej do dźwignienia się. Dom zawalił się nam nad głowami, bo nie było czem go podeprzeć. Jeśli mamy dom odbudować z gruzów, to nie zaczynajmy, mili braciszkowie, budować od dachu, lecz, jak Bóg przykazał od fundamentu, a fundamentem wszystkiego jest lud. Albo Polska będzie ludowa, albo nie będzie Polski. To jasne. Szkoda byłoby słów na dowód, że słońce świeci. Powtarzam z naciskiem: wszystko dla ludu, wszystko przez lud. Szczegóły raczcie przeczytać w „Przyjacielu Ludu“. Skończyłem.

Pora dość już spóźniona, a jeszcze trzech kandydatów ma przemówić, właściwie czterech, gdyż kandydat Jasia także zgłoszony. Br. Seydel przyspiesza tok zgromadzenia.

Radca Oleśnicki staje na mownicy, i w te odzywa się słowa:

— „Przezacna sodalicyo! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i przenajświętsza rodzina!

Choralna odpowiedź: Na wieki wieków amen.

— Ze względu na późną godzinę wyłuszczę program swój cały w sześciu słowach: Encyklika Leona XIII de rerum novarum. Proszę o poparcie. Rzęsiste sypią się oklaski. Po radcy kolej na barona. Jojne ujmuje dzwonek w obydwie ręce, którym usiłuje przygłuszyć wrzawę.

Gdy br. Seydel pojawia się na mownicy zrywa się burza oklasków. Stoi mile uśmiechnięty wciąż ukłonem dziękując za wyraz sympatyi. Trwało to kilka minut, nim mógł głos zabrać.

— Przezacne panie i dzielni a mili panowie, czcigodna kwartalnico! Czcząc swego prezesa czcisz sama siebie w poczuciu swego wielkiego znaczenia i powagi. Jest ona aeropagiem opinii publicznej w kraju, czynnikiem politycznym, miarodajnym. Staję przed tym aeropagiem w cierniowej koronie kandydata. Pójdę za przykładem czcigodnego radcy i równie w sześciu słowach wygłoszę swą mowę kandydacką. Stoję ponad stronnictwami, waszego poparcia pewny.

Zatrzęsły się od oklasków przylegające do ogrodu mury.

Korcowy zabiera głos:

— *Panowie Hromada! Ja wid Lachiw hołosu ne potrebuju, ja sam sobi beru hołos. My Ukraińci ne damo sia ani Lacham, ani kacapam. Znaka naszoj suspilnosti odnym i druhym daże ne na ruku. Znajut one, szczo to im na pohybeł. Szcze ne wmerła Ukraina, Sicz żyjet w nas Siczownykach. Żyjet w nas duch hetmana wełykoho Bohdana Chmielnickoho, duch hajdamachiw: Gonty, Zelezneka.* Ta zemlia, to nasza swiata Ukraina...

Zaprotestowano ze zgromadzenia:

— Co za Ukraina, kiedy to Pokucie!

Jojne robi uwagę: Mówi tak, jak gdyby nas tu nie było.

Kiełbasowski woła: To ziemia polska!

Czernohus krzyczy: Korenno ruskaja!

Rolę rozjemczą obejmuje leśniczy kameralny Brandmajer, mówiąc:

— Po co sprzeczać się panowie. Ani taka, ani siaka, tylko *von Rechtswegen* c. k. austryacka.

Korcowy bije pięściami w stół wrzeszcząc:

— A znajete wy sycylijskije nieszpory?

Wybucha ogromne oburzenie. Odzywają się gromkie głosy: „On nam grozi!“ „Za drzwi z nim“. Niektórzy zrywają się od stołów i otaczają mowcę, odgrażając się mu. On jak szalony krzyczy:

— Proklataja pamiat wasza!... Rizate... — dalszych słów dokończyć nie mógł, bo Kiełbasowski, Sedlaczek i inni ściągnęli go z mownicy i wśród zgiełku i szarpania się wyparli za drzwi.

Br. Seydel stał z miną tragiczną w twarzy i nieruchomym dzwonkiem w ręku, widząc ubezwładnioną władzę swą dyskrecyonalną. Biedny Korpacz z skarbonką wyglądał jak opuszczona sierota, nie wiedząc, w którą ma się zwrócić stronę.

Gdy wrzawa i zgiełk uspokoiły się nieco, zawołał br. Seydel znacząco:

— Co się dzieje, co się dzieje! Prawie nadwerężyliśmy zasadę naszą główną: stania ponad stronnictwami.

Dla faktycznego sprostowania zażądał trzeci poeta obecny na zgromadzeniu głosu, mianowicie rewident i radca gminny Przekrasa, odzywając się w te słowa:

Dysputujecie, ja cicho siedzę,
To nie uchodzi, mili koledzy
Dlatego teraz zabieram słowo,
Żeby sprostować i to i owo.
Zanim pościnał lechickie głowy,
Za drzwi wyleciał imci Korcowy;
Ja wobec tego prostuję żwawo:
Wyrzucać za drzwi, to nasze prawo.

Przewodniczący dzwoni i upomina mowcę:

— Proszę zaniechać wszelkich niemiłych reminiscencyj. Północ już minęła, goście się wynosić zaczynają — właśnie czcigodny radca Abraham Jojne opuścił zgromadzenie — a porządek dzienny jeszcze nie wyczerpany.

Jasio przerywa:

— Przepraszam pana prezydenta, lecz teraz szampan ma głos, a potem ja. Kajciu strzelać korkami! cyganie zagrajcie teraz dojnę-dojnicę.

Szampan strzela, cyganie grają, ochota wzmaga się do najwyższego stopnia. Nim przyszło do ostatniego punktu porządku dziennego, księdzu Newełyczce i asystentowi pocztowemu, którzy ani jednego toastu nie opuścili, zrobiło się tak źle, że cucono ich czarną kawą.

Jasio poleca swego kandydata:

Mój kandydat wielogłowy —
Płeć mieszana do połowy,
Nóg ośmioro, rąk ośmioro,
A urody bardzo sporo.
Całości on cztery tworzy,
Nogami zaś cudnie orze.
Kandydat nie lada jaki —
Odgadnijcie kto to taki?

Zaczęto łamać sobie głowy odgadywaniem, co jednak nie trwało długo, gdyż na gwizd Jasia zapłonęła niebawem weranda ogniem bengalskim, a w niej ukazały się dwie giejsze z dwoma Japończykami.

— Oto kandydat mój! — woła Jasio rozpromieniony.

Całe zgromadzenie zachwycone niespodzianką. Panie wielbią głośno pomysłowego Jasia.

— Cała amerykańska kawiarnia — mówi pani Marya Kazimiera — co go to kosztować musi.

— Sypie pełnemi garściami pieniądze — dodała pani Dusimiechowa.

— Banzaj! banzaj! — zaczęto wołać do Japończyków.

— Panny — woła Jasio — kandydujcie nóżkami.

Cyganie grają melodye z operetki „Giejsza“. Na werandzie rozpoczyna się taniec japoński — humor się wzmaga i staje się wybujałym. Gdy panie dla spóźnionej pory opuściły towarzystwo, dopiero zabawa doszła szczytu.

Zgromadzenie przeciągnęło się do białego dnia, walka zasad wrzała tak gorąca, iż padło kilka trupów na miejscu — zupełnie nieprzytomnych.

Ciąg dalszy nastąpi.



Bronisława Wolska

Migawki teatralne.

Spadkobierczyni arystokratycznego w teatrze nazwiska, bo z domu Ładnowska, rodzona siostra znakomitego aktora Bolesława Ładnowskiego — jest Bronisława Wolska, jedna z najdzielniejszych i najwytrwalszych przedstawicielek kobiecych ról poważnego i klasycznego repertoaru. W tragedyach Słowackiego i Szekspira, w komedyach Fredry, Dumasa i dramatach Sardou — zyskała sobie, mówiąc teatralnym zwrotem, „dobrą markę“. Zakres jej ról wkraczał poniekąd w dziedzinę twórczości niezapomnianej Hoffmanowej. Artystka sumienna, inteligentna, szanująca sztukę, była i jest Wolska wzorem i przykładem dla młodszej progenitury artystek. Sumienność i punktualność to jej druga natura. Nie było wypadku, by Wolska nieprzygotowana i bez wystudyowania roli swej zjawiła się na scenie, nie było wypadku spóźnienia się jej kiedykolwiek na próbę. Jej sztuka charakteryzowania się i kostyumowania starannego zyskała rozgłos na scenach polskich.

Za czasów dyrekcyi Koźmiana, gdy teatr krakowski błyszczał gwiazdami pierwszorzędnemi, niepośledne stanowisko artystyczne zajmowała już Wolska. W znakomitej tej szkole przyswoiła sobie snać te wszystkie cenne zalety poprawnej artystki, które ją na czoło obecnego żeńskiego personalu naszego teatru wysunęły. Było to w r. 1884 — data wstąpienia jej na deski krakowskiej sceny. Od tego czasu nie opuszcza już Krakowa i przetrwawszy wszystkie zmiany i przeobrażenia, jakim od czasu Koźmiana nasz teatr uległ — niezrażona nawet obecną niefortunną dyrekcyą pani Kotarbińskiej — pozostała wierną scenie i publiczności krakowskiej, która też umie ocenić w niej pracowitą, uzdolnioną aktorkę, dobrą i zacną kobietę, podobnie jak koledzy uczynną i gotową zawsze do ofiar — towarzyszkę pracy.

* * *

Wacław Elszyk, to wódz naczelny, pod którego bacznem okiem odnosi w teatrze lwowskim walne zwycięstwa opera i operetka.

Wychowanek konserwatoryum cesarskiego w Petersburgu, długoletni uczeń sławnego Karola Hoffmana, po chlubnem ukończeniu studyów muzycznych, zdobył sobie wkrótce sławę znakomitego pianisty i osiedliwszy się w Warszawie, długi czas był tam nauczycielem solistów tamecznej opery i korepetytorem chórów.

Na tem skromnem stanowisku cieszył się takiem uznaniem, że, gdy Tadeusz Pawlikowski objął ster rządów teatru miejskiego we Lwowie, zdołał zwrócić na siebie uwagę nowego dyrektora, który w jego ręce złożył batutę drugiego kapelmistrza opery i operetki, pierwszą powierzając Czelansky'emu.

Niebawem jednak Czelansky musiał ustąpić i Elszyk odrazu zajął jego stanowisko. Od tej pory oddał się gorąco powierzonym sobie obowiązkom. Zdolny muzyk, sumienny kapelmistrz, odznaczający się wielką pracowitością, pozyskał sobie łaski wybrednej lwowskiej publiczności, uznanie krytyki, względy dyrektora i miłość kolegów, którzy pod jego kierunkiem zdobywają sobie laury na scenie.

Cichy, nie żądny oklasków, ani owacyi, za punkt honoru uważa sobie, aby każdą premierę operetkową i każdą operę, bodaj pod względem muzycznym wystawić bez zarzutu. Wysoki poziom, na jakim wreszcie stanęły chóry operowe lwowskie, jest głównie jego zasługą. Elszyk nie szczędził trudów i żmudnej pracy, aby z tego surowego materyału, jaki mu dano do rozporządzenia, stworzyć wytrawnych śpiewaków, pewnych siebie, zdolnych do opanowania swych partycyj i głosowo i pamięciowo.

Dziś chóry lwowskie mogą służyć za wzór innym scenom, tak, jak Elszyk może być wzorem dla innych kapelmistrzów — wzorem sumienności i pracowitości, które, wspierając się na dużym jego talencie i gruntownej znajomości rzeczy, pozwoliły mu wybić się na pierwszy plan i stać się niezbędnym w teatrze lwowskim, a pożądanym przez inne sceny polskie.

Tylko, że Elszyka nic do tych innych scen nie ciągnie. Lwów przyjął go z otwartemi rękoma, a on wdzięczny za to serdeczne przyjęcie płaci mu wdzięcznością i ani myśli uciekać z pod sztandaru lwowskiej Melpomeny.

* * *

Warszawianka w każdym calu — a więc nie tak znów piękna, ani nawet nie starająca się być albo też uchodzić za piękność, ale za to miła, przyjemna, sympatyczna i elegancka, tą elegancyą wrodzoną tylko Warszawiankom — poświęciła się choreografii.



Wacław Elszyk.

W Syrenim grodzie wystąpiła po raz pierwszy na scenie i tam święciła tryumfy wprawdzie nie tak sensacyjne, jak „sławna“ miss Izadora Duncan, która potrafiłaby nawet „odtańczyć“ zburzenie Troi, albo pojedynek Hektora z Achillesem, lub zamach Odyseusza na oko Cyklopa, ale w każdym razie o tyle przynajmniej popłatne, że bawiący podówczas w Warszawie z operetką teatru skarbkowskiego dyrektor Heller złakomił się na tę sympatyczną Warszawianeczkę i — przywiózł ją dla Lwowa niby ten Budrys Laszkę-synowę dla swego ojca!...

Pierwszy jej debiut pamiętam, jak dziś. Nie byłem jej zwolennikiem, owszem jakaś nieufność ku niej gościła w mem sercu. Występowała wówczas jako mucha w „Orfeuszu“ Straussa — nie opisuję moich wrażeń, ale notuję jak reporter taniego dziennicka, pozbywając się jedynie cechującej tych dżentelmenów przesady, fakt rzeczywisty: stara skarbkowska sala zatrzęsła się od oklasków. Staszkówna wstępnym bojem pokonała Lwów i z publiczności zrobiła swych wiernych niewolników.

Od tej chwili karyera jej była już zdecydowana. Teatr lary i penaty przeniósł do nowych murów, a wraz z niemi przybyła do nich i panna Staszko. Tam zdobywała sobie nowe laury, jako przedstawicielka choreografii. Ale jak komicy mają pociąg do ról bohaterskich, tak ona pokusiła się o laury wodewilistki. Z tej próby nie wyszła zwycięsko, ale też walki nie przegrała z kretesem. Uczuła jednak brak sił i zrezygnowała z szukania szczęścia na nowych drogach. Jak z początku tak nadal stanęła do służby w szeregach baletniczych, naturalnie



Wacława Staszkówna.

nie w drugich szeregach, ale w pierwszych, a nawet więcej, bo przed samym frontem.

I na tym froncie pełni ją dalej, zdobywając sobie dziś sławę, wieńce i oklaski...

Przyjemne jest to życie na scenie, ale czy niema ono i ciemnych stron swoich?...

Kącik humorystyczny.

Między dziećmi.

— A mój tata ma laskę z gałką! Aha!...

— A mój ma znowu laskę z haczykiem!... Aha!...

— A! a do nas znowu co dzień psychodzi egzekutol, a do was nie!... Aha!...

Na licytacyi.

— Szanowna publiczności! Oto biust Napoleona Bonapartego! jeden jedyny biust, który Samson zdołał wygrzebać w Kalifornii, wśród złota! Pięć koron! Kto da więcej?!...

Na ulicy.

Andrus: Pani łaskawa! pani dobrodziejko, a kup-że pani tego piesa!...

Dama: Ładny szczeniaczek! wzięłabym go, ale nie wiem, czy się mojemu mężowi spodoba...

Andrus: To rozwiedź się pani z mężem! Męża, to pani zawsze znajdzie, ale takiego ładnego piesa, to ze świecą w dzień trzeba szukać!...

Złapała się.

Żona: Och! dziś otwarcie przyznaję, iż byłam ogromnia głupia, żem wyszła za ciebie!...

Mąż: Ale teraz toś zmądrzała? co?!...

Żona: Naturalnie!...

Mąż: Ha! to podziękuj mi przynajmniej za wykształcenie!...

Acha!

— A więc zawinąłeś nakoniec do małżeńskiej przystani?

— Ładnie tam zawinąłem! Poprostu zawleczono mnie!...

W restauracyi.

— Panie! przed chwilą odzywałeś się pan coś o ośle!.. Czy to się może przypadkiem do mnie miało odnosić?!...

Ależ broń Boże! przecież na świecie jest tyle osłów!...

W sądzie.

— Czem pan jesteś z zawodu?

— Handlarzem kaczek!

— Proszę, niech pan mówi wyraźnie dziennikarzem, czy hodowcą drobiu?!

Różny los.

Noc zapada. Dwóch adrusów idzie przez Planty.

— Ty Antik! — mówi pierwszy — słyszysz brachu jak ci tu słowik trele wywodzi?

— Ii! co mi tam z tygo! — odpowiada, zagadnięty – niech by my oba zaczeni sobie tak nucić, toby nas zaraz jaki policaj zataskał do ula!...

Michał Świerzyński.

W Krakowie wszyscy go znają i lubią, bo chłopak zacny, poczciwy, choć do serca przyłożyć. Cichy, nikomu wody nie zamąci. W obejściu zawsze delikatny, uprzejmy... że niema chyba w Krakowie człowieka, który, otarłszy się o Michasia, nie nabrał sympatyi dla tej rozumnej, inteligentnej, lekkim zarostem okolonej twarzy, o spokojnem, jasnem, trochę sentymentalnem spojrzeniu i jego ujmującego i nie narzucającego się wzięcia.

Rzeczywiście nienarzucającego się, bo gdyby inny pan umiał tyle, co Michaś i napracował się rzetelnie a szczerze co Michaś i gdyby miał taką krynicę melodyi, co Michaś, darłby nos do góry, że bez kija nie zbliżaj się — a ludzi traktowałby już nie przez nogę, ale przez kalosz.

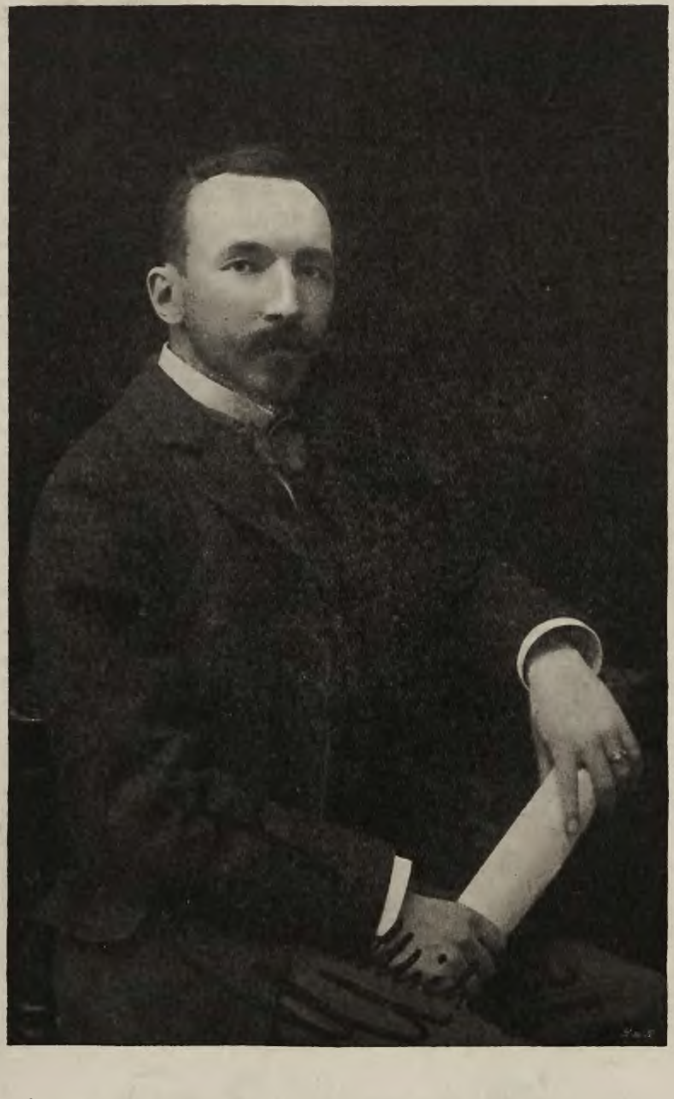
Świerzyński, wychowany wśród artystycznego, kulturnego, pełnego najzacniejszych tradycyi otoczenia, syn artysty i wielkiego patryoty, był, jako najmłodszy z licznego rodzeństwa, benjaminkiem całej rodziny, odznaczającej się wielkiem sercem i umysłem i gorącym i szczerym patryotyzmem.

Wśród takiego otoczenia wychowywało się młode chłopię, zdradzając wcześnie olbrzymią wrażliwość na dźwięki i piękno w melodyi. Starsza siostra, utalentowana pianistka, była pierwszą nauczycielką Michasia, ona to wdrażała marzące chłopię w pryncypia boskiej sztuki, ona wpajała zamiłowanie, reszty dokonał taki zdolny pedagog jak ś. p. Jan Ostrowski no i... talent, ów pedagog nad pedagogi.

W konserwatoryum, dokąd posłano Michasia już jako dwunastoletniego chłopca, dostał się on do klasy fortepianowej Drozdowskiego, a następnie Płacheckiego. Tu rozpoczęła się praca intenzywna i systematyczna — praca nad przyszłem powołaniem chłopca. Los Michasia był zdecydowany... miał zostać muzykiem.

Biedny Michał... W naszych czasach i w naszych stosunkach *quem dii oderunt pedagogum fecerunt* — bo u nas muzyk to i pedagog!... Proszę mi pokazać u nas muzyka, który żyje z muzyki, nie udzielając lekcyj... chyba że jest mecenasem, t. j. adwokatem albo urzędnikiem lub czemś podobnem takiem.

Z Michasia zaczął już być Michał, kiedy zajął się nim Żeleński i zaczął go wtajemniczać w sacra



i arcana harmonii i wprowadzać do tajemniczej świątyni twórczości. Bujny jednak temperament Michała nie mógł się nagiąć do surowej szkoły i do systematyczności, jakiej wymagał od niego mistrz. Wyłamywał się coraz częściej z karbów rygoru szkolnego i zamiast zadań przynosił na lekcyę gotowe już kompozycye. Było to wbrew zasadom pedagogicznym, następstwem czego występuje Świerzyński z konserwatoryum i studyuje na własną rękę z kilku muzykami wiedzę muzyczną, wykonując ją praktycznie. Pierwszym, który do młodego muzyka zgłosił się z zamówieniem, był Rygier, obecny dyrektor teatru poznańskiego. Zamówił ilustracyę muzyczną do sztuki... (tytułu dalibóg nie pamiętam).

Michał wszedł za kulisy. Odtąd posypały się ilustracye muzyczne do sztuk, których wyliczanie zabrałoby tu nader wiele miejsca, bo jest ich przeszło sześćdziesiąt.

Młody, przystojny chłopak staje się wkrótce ulubieńcem całego teatru. Dyrektorzy, jak np. Pawlikowski lubią i cenią go za wiedzę, talent i pełną gotowości ochotę i łatwość w dostarczaniu muzykaliów teatrowi. Artyści polubili w nim wesołego towarzysza pracy i rekreacyi, polubiły go artystki za jego gotowość i uczynność. Michał był młody i przystojny chłopiec a grał tak bosko na fortepianie. Zwolna Michał ogarnął wszelkie pola twórczości muzycznej, które zbyt mogły mieć w naszym Krakowie. Oprócz stałej roboty dla teatru pisze wielką ilość naprawdę pięknych pełnych sentymentu piosnek, tworzy znaczną ilość kwartetów, kompozycyi okolicznościowych, kantat i t. d. i t. d. Prace te ogłaszają drukiem: Krzyżanowski, Piwarski, Zwoliński i nakładcy warszawscy.

W tece kompozytorskiej oprócz kantat (z tych 2 odznaczono I. nagrodami) spoczywają znaczniejsze prace, a to: Suita, Symfonia, tudzież dwie opery „Ksenia“ i „Zosia“. Sympatyczny muzyk nie ustaje w pracy. Skromny i cichy nie narzuca się ze swoimi utworami naszym nielicznym dyrektorom i dyrygentom, tak chętnie usuwających swojskie kompozycye na plan drugi, a popierających obcych kompozytorów. Czeka cierpliwie, nie przeczuwając nawet może wśród ciepła sympatyi, jaką go otacza Kraków, iż jeżeli nie jest ceniony tak, jak na to zasługuje, to tylko dlatego, że po wiedzę i naukę nie jeździł ani do Berlina, ani do Paryża, lecz siedział i studyował w Krakowie. Tu nauczył się wszystkiego.

Ostatniem dziełem Świerzyńskiego jest misteryum pod tytułem „Polskie Betleem“, stworzone do słów Lucyana Rydla. Misteryum to wystawia w tych dniach Pawlikowski w lwowskim teatrze.

O wartości dzieła wyda rozumna i nie politykująca, szczególnie w stosunku do Krakowianina, fachowa krytyka lwowska swoje zdanie. Redakcya „Nowości illustrowanych“ podając dziś portret muzyka, tak wysoce sympatycznego i jako muzyka i jako człowieka, życzy nowemu jego dziełu powodzenia.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

I

Zachodzące słońce ginęło za ciemnym świerkowym borem, na skraju gęsto podszytym gęstwiną dzikich malin i ożyn. Pod lasem na wzgórkach, pokrytych zieloną runią pasło się stado owiec, pobekując wesoło. Kilku młodych chłopaków w kożulinach i płóciennych hajdawerkach baraszkowało, przewracając się po ziemi i od czasu do czasu spoglądając z podełba w stronę boru, gdzie na najwyższem wzgórzu leżał stary wieśniak, wódz małej garstki pasterzy, otulony w ciemną, wytartą i zniszczoną przez deszcze sukmanę. Z pod słomianego kapelusza o szerokich kresach bacznie spoglądały na trzodę i swawolących chłopaków czarne oczy starca, w których malowała się młodzieńcza siła. U stóp starca leżał ogromny kudłaty brytan.

Niczem nieprzerwana cisza panowała dokoła.

Nagle kudłaty brytan podniósł łeb w górę, wyciągnął nozdrza w stronę lasu i począł węszyć. Włosy zjeżyły mu się na grzbiecie; z piersi wydobywało się ciche, lecz groźne warczenie.

— Co ci to Burek? — zapytał stary wieśniak podnosząc się z ziemi — co znowu węszysz piesku?

Na głos pana brytan wesoło zaczął kręcić ogonem, ale nie przestawał warczeć. Równocześnie i w lesie, daleko gdzieś jeszcze, rozległo się zajadłe szczekanie psów i prawie w tej samej chwili z gęstwiny boru wypadł młody, smukły jak sosna parobczak.

— Ociec! — krzyknął podbiegając do starego — dajta mi waszą sukmanę i kapelusz i zakręćcie głowę leśniczemu, a ja za ten czas postaram się zniknąć mu z oczu.

Stary wieśniak milcząc, szybko podał parobczakowi sukmanę i kapelusz. Chłopak czemprędzej zmienił strój, poczem gwizdnąwszy na psa szybkim krokiem podszedł do baraszkujących pasterzy i położył się koło nich na ziemi.

A stary wieśniak tymczasem, przysłoniwszy oczy ręką, spoglądał w stronę boru. Nie trwało to jednak długo. Zaszeleściały zarośla i na skraju lasu ukazał się młody mężczyzna w myśliwskiem ubraniu, ze strzelbą na plecach. Dwa tęgie psy zjajane ze spuszczonemi łbami szły tuż przy nim.

Nowo przybyły otarł pot z czoła i zobaczywszy starego wieśniaka skinął nań dłonią.

— Bywajcie no Marcinie! Nie widzieliście kogo, coby uciekał z lasu?...

— Jakżeż nie widziałem, proszę łaski pana leśniczego — rzekł powoli wieśniak, kłaniając się ręką aż do samej ziemi — a no widziałem, jako żywo. Jucha parobas jakiś, przysięgać nie mogę, ale widzi mi się, co to był ten Wujek z Płońska, wyskoczył z haszczów, ale jak ino mnie doźrał, tak w te pędy znowu się zaszył do boru! A no i dobrze zrobił, bo jakby mnie był wpadł w ręce, to już by go pan leśniczy nie gonił więcej pewnikiem!

— Wujek mówicie? Hm! A ja byłem pewny, że to Pogórny! Zdrowi Marcinie! Jak poszedł w las, to ja go już pewnie upoluję. Dolot! Miarka! no dalej szukać pieski, szukać!...

I leśniczy znów zapuścił się w gąszcze lasu.

Marcin chwilę spoglądał za odchodzącym, poczem splunął na ziemię, dobył z kieszeni hajdawerów fajeczkę i kapciuch z tytoniem i po chwili puszczając gęste kłęby dymu, wolnym krokiem poszedł ku chłopakom, wśród których leżał bezpieczny już przed pościgiem parobczak.

— A co ociec? poszedł?...

Stary wieśniak skinął potwierdzająco głową i zciągnąwszy z parobczaka sukmanę zaczął się przyodziewać.

— Co to było Jaśku?

Parobczak uśmiechnął się wesoło.

— A no widzicie Marcinie polowanie! Ja to sobie polowałem na rogacza, a pan leśniczy na mnie. Rogacz głupi, to się i dał ustrzelić, Pogórny mądry, to i pan leśniczy dalej włóczy sie po lesie szukając wiatra w polu!...

— A rogacz gdzie?

— O! bezpieczny!... Nad Wisłą we wiklach czterech leśniczych nie znajdzie go chyba!

Pogórny dźwignął się z ziemi, przeciągnął, jakby po długiem śnie i mówił dalej do starego.

— Bo to tak! Stoję ja sobie na jarmarku pod szynkiem, a tu Szmul przychodzi do mnie i mówi: Jasiek, chodź napij się wódki! Poszedłem. Możem nie miał pójść, kiedy żyd płaci? Pijemy wódkę, a Szmul mówi, że jemu na gwałt potrzeba rogacza, żebym mu się postarał. Dobrze, powiadam, akurat w rewirze jest rogacz jak koń. Przyszedłem do domu i wychodzę zaraz w nocy na zasiadkę. Ale! Zwierz jakby czuł, że ostatnia godzina jego wybiła, nie pokazał się nawet. Drugą noc czatuję znów po próżnicy. A tu Szmul przyjeżdża z miasteczka, niby to do dworu, niby do arendarza, a właściwie do mnie i gada, że rogacza musi mieć w tym tygodniu. Myślę sobie: trudno, jak mus, to mus! Pójdę go w dzień poszukać. Poszedłem. Nawet nie długom się kręcił po lesie a tu rogaczysko wyłazi wprost na mnie. Jak się nie złożę, jak nie huknę. Jucha wykopyrtnął się na miejscu. Ja do niego, a tu słyszę jak leśniczego psy grają już w borze. Wsunąłem strzelbinę w krzaki, a sam rogacza na plecy i dalej w nogi do Wisły. Udało się. Schowałem go w wiklinie, a sam znów schroniłem się do lasu i wydrapałem się na sosnę. Myślę, leśniczy zgubi ślad, a ja pójdę do domu. Akurat patrzę, a on już z psami nadbiega. Szuka, szuka, a patrzy wszędzie, a wszędzie zagląda! No nic nie znalazł i poszedł. Przeczekałem chwilę, złażę ze sosny, a tu z krzaków wyłazi pan leśniczy. Mądry ciarach czuł mnie, schował się i myślał, że złapie! Mnie uważacie Marcinie, mnie! Ale przecie mi Bóg nie od parady dał nogi! Puściłem się jak strzała — no i zdołałem się znów wymigać!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

SZTUKA.

Pamiętam, było to „pod gęsią“, lat temu trzydzieści niespełna przy stałym naszym codziennym stole.

Godzina ósma wieczorem. Głowy zagrzane, humorki wesołe — anegdoty pieprzne i naiwne sypały się jak z wora... wtem — stanął przed nami znany żydek, już nie młody, mocno zezowaty i skłoniwszy się niezgrabnie, postawił przyniesione w kieszeni zagadkowe jakieś przedmioty na stole.

Był to prestydigitator, wędrowny widać sztukmistrz minorum gentium.

Więc tedy: „mam tu ósi kubki i ósi kulki“... Kładł kulki na ten przykład pod środkowy kubek — hokus pokus — kulki przechodziły pod kubek skrajny!... W tym rodzaju sztuczek umiał mnóstwo, bawił tedy szanownych gości, zakładał się o piwo, które oczywiście wygrywał zawsze — i wreszcie zebrawszy na talerz kilkadziesiąt centów — składał „moje uszanowanie“ i odchodził.

Nieraz to się powtarzało, znaliśmy tedy jego kawały na pamięć.

— Nic tam nie ma na tych jego sztuczkach — skrzywił się pan Ignacy, majster blacharski — ale niech sobie biedne żydzisko zarobi parę groszy.

— Nic jak nic — odgryzł się pan Jacenty ślusarz — bo chociaż i ja widziałem takiego mości dobrodzieju, Epsteina, albo, jakże ten drugi się nazywał, mości dobrodzieju... aha! Roman... tak! widziałem, ale i ten ma, mości dobrodzieju, spryt nie lada.

A trzeba wiedzieć, że tu nie tyle chodziło o magika i jego zręczność, ile o sposobność przekomarzania się z panem Ignacym, któremu pan Jacenty „mości dobrodzieju“ zazdrościł po cichu krzesła radzieckiego w magistracie, honoru uzyskanego przy ostatnich wyborach rzekomo za gorące kiełbaski i okocimera...

Wiedząc o tej animozyi obywatelskiej pan Michał, mistrz krawiecki, pospieszył przeciąć w zawodzie sprzeczkę dwóch siąsiadów jak nożycami i powiada żartobliwie:

— Dajcie no pokój, panowie! jabym ta i tak nie potrafił, jak ten żydek!

— Nie prawdaż? — podchwycił zadowolony pan Jacenty. — Nie sztuka, mości dobrodzieju, ganić coś... ale trzeba to umieć zrobić, mości dobrodzieju.

Tu widocznie obruszył się pan Ignacy.

— Zrobić „mości dobrodzieju“ nie umiem; co się jednak tyczy sztuczek, kto wie czy nie potrafię?

Korciło pana Jacentego skorzystać z chwili i przyznać panu Ignacemu, że istotnie sztuczkami zdobył mandat radziecki — ale nie chcąc wywoływać awantury, ugryzł się tylko w język i zawołał:

— Ba! tak się ono mówi!... I ja mógłbym powiedzieć, że potrafię i oto pan Michał i pan, dajmy na to, mości dobrodzieju, Walenty... Ale prosimy pokazać — mości dobrodzieju!... pokazać i przekonać.

— Słusznie! słusznie! pokazać! — gruchnęło od całego stołu, a pan Ignacy, figlarnie jakoś łypnąwszy oczyma, zakonkludował poważnie:

— Dobrze! zgadzam się... ale nie darmo.

— Jak to?

— Założymy się z panem Jacentym, że gdy on położy guldena tu na stole — ja nie dotykając wcale, potrafię zrobić tak, że gulden zniknie, a na jego miejscu zostanie dwadzieścia centów.

— Nie może być!?

— A zrobię to nie pod kubkiem, ani pod chustką, jak ów żydek, ale wszystkim w oczach!

— Dobrze, mości dobrodzieju... przyjmuję zakład! O co?

— O ćwiartkę okocimera!

— Brawo! — zawołali chórem towarzysze — a my pomożemy wypić!...

Stanęła ugoda. Pan Jacenty położył srebnego guldena na rogu stołu, a pan Ignacy zastrzegł się tylko, że dopóki hokus pokus się nie wykona, nie wolno nikomu ani słowem się odezwać, bo czary stracą siłę.

— Zaczynam więc! — poważnie wyrzekł pan rajca, a cisza grobowa zaległa dokoła.

— Niech wszyscy patrzą nieustannie na guldena i na mnie, który się nawet z krzesłem odsunę — a ja tymczasem załatwię się z Morycem.

Moryc był to płatniczy. Zawołany po imieniu przez pana Ignacego, przybiegł z drugiego pokoju.

— Płacić!

— Służę pana radcego.

— Miałem — rzekł pan Ignacy i nieznacznie spojrzał na leżącego guldena – wieprzową z kapustą i chlebem.

— Trzydzieści centów! — liczył Moryc.

— Cztery bomby piwa —

— Czterdzieści, to siedemdziesiąt —

— Jedno kuba...

— Siedemdziesięt pięć —

— I pięć centów tryngeld dla Moryca.

— Razem osiemdziesiąt! — zakończył kelner; zgrabnym ruchem lewej ręki ściągnął leżący pieniądz i w mgnieniu oka położył na jego miejscu resztę — dwudziestaka!

I odszedł.

— Skończyłem! — zwołał pan Ignacy.

Nie dotknąłem guldena, a gulden zmienił się w dwadzieścia centów!...

Śmiech buchnął do koła.

— Brawo! brawo! Słusznie! — brzmiało ze wszystkich stron, a chociaż pan Jacenty „mości dobrodzieju“ próbował rezonować i wartość sztuki podawał w wątpliwość — wobec jednogłośnie panu Ignacemu przysądzonej wygranej, nie pozostało nic innego, jak wiadro piwa postawić i sprawę zapić!...

Domyślacie się zapewne, że pan Ignacy odwzajemnił się w dalszym ciągu dziesięciu flaszkami wina i tak dalej w kółko gdzieś do czwartej rano, poczem obaj panowie sąsiedzi wycałowawszy się do niemożliwości, poszli jako serdeczni i dozgonni przyjaciele na czarną do Koziarskiej.

Słonko wskazywało na piątą. *Pablo.*

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożył W. K.

I.

Pierwsza litera, podobna dc uszka...
Drugie i *trzecie:* ma znów każdy kwiatek.
Całość się łamie... i wzrusza serduszka...
Co to? – kto zgadnie – niech żyje sto latek!

II.

Kto wygra *pierwsze-drugie*... ma zysku nie wiele,
I zwykle mówi: „Gdyby jeszcze trzeci!“
Druga i *trzecia*: wychowuje dzieci...
Całość – moi państwo mieści się w kościele.

Kryptogryf kryształowy.

Poprzestawiać litery, aby w otrzymanych 11-tu wyrazach środkowe szeregi, poziomy i pionowy, czytane z góry na dół i od lewej strony ku prawej, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego.

a
a a a
c c c d d
e e e e e i i
k k k l l l l i i
m n n n n n n n n n o
o o o p p p r r r
s t t t ó w w
w w w w y
y y y
z

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Afryce. 3. Imię żeńskie. 4. Miasto w gub. siedleckiej. 5. Miasto w Prusiech Wschodnich. 6. Imię i nazwisko poety polskiego. 7. Imię męskie. 8. Miasto w Ameryce. 9. Miasto w gub. płockiej. 10. Budynek. 11. Spółgłoska.

Logogryf.

Z następujących sylab: a, bach, bes, bo, can, cer, ci, cze, de, de, de, dis, dis, dou, e, e, e, e, e, e, ek, el, eu, eu, fa, giel, go, i, ja, jamb, je, ka, ka, ka, kre, la, lac, lec, leu, lip, lo, lo, log, log, na, nek, ner, ner, no, o, o, ot, pe, pi, pie, pier, pier, ra, ra, rah, re, re, ret, rich, rye, ro, ro, ro, romb, ros, ry, ryk, ryl, san, sar, se, si, son, styp, tar, te, teg, tel, ter, ter, teu, ti, to, tu, ty, tyk, ul, ut, vail, wag, wie, ye, zu, zus – ułożyć 37 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, utworzyłyby nazwiska 10 znanych Burów.

Znaczenie wyrazów: 1. Ostatni król lidyjski. 2. Morderca Henryka IV. francuskiego. 3. Pisarz polski, tłumacz dramatów Szekspira, dzieł Plutarcha i innych. 4. Droga ziemi około słońca. 5. Gatunek małp, podobnych do człowieka. 6. Poemacik miłosny. 7. Kwadrat ukośny. 8. Dramaturg francuski. 9. Pierwszy król Troi. 10. Zakończenie mowy, poematu, powieści i t. p. 11. Dynastya książąt litewskich, która wstąpiła na tron polski. 12. Wynalazca logarytmów. 13. Dwuzgłoskowa stopa wiersza. 14. Bohater Szekspira. 15. Nazwa tonu gamy dyatonicznej. 16. Słynny kompozytor. 17. Okrzyk Archimedesa, gdy odkrył ciężar gatunkowy ciał. 18. Ostatni król Wizygotów. 19. Poeta szwedzki. 20. Historyk włoski. 21. Znakomity malarz włoski z czasów odrodzenia. 22. Miejsce trzciną zarosłe. 23. Trunek boski. 24. Zgromadzenie zakonne, założone w XVI. wieku przez Lojolę. 25. Słynny fizyk i wynalazca. 26. Dziesięcioro przykazań. 27. Jedna z muz, przewodnicząca muzyce. 28. Słynny kompozytor. 29. Grecki bożek miłości. 30. Duch wodny. 31. Izraelska prorokini. 32. Uroczystości w starożytnej Grecyi, obchodzone na pamiątkę zwycięstwa Greków nad Persami pod Plateą. 33. Filozof chiński, założyciel wiary Tao. 34. Filozof grecki. 35. Rewolucyonista francuski. 36. Substancya napełniająca całą przestrzeń świata. 37. Czciciele szatana.

Zadanie konikowe.

ciem	że	ko	niem	po	truch	now	mięć
wie	wy	śród	jak	ców	pa	wspo	leje
cięż	ne	ło	leje	mnie	o	mi	ma
sło	cza	ko	o	styn	ne	w ży	rych
go	za	wić	po	su	któ	pu	błęd
tę	na	su	nych	braw	cia	la	cze
cier	zna	drów	ję	ne	łem	szy	puszcz
ce	knie	nio	laz	wę	te	dzi	się

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy powieść:

Bajorasa **„Zerowisko“**.

Rozwiązania z Nru 12.

Zadanie kwadratowe: Reymont.
Szarady: Sardynia; Romana.
Zagadka dyamentowa: Antoni Małecki.
Kryptogryf: Mazepa.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Marański, Staszecki, Rudolf, Stiasniewicz, Suchorzański, Pol, Więckiewicz, Arbesbauer, Josefert, Stanisławski, Reiss, Giorczak.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Więckiewicz Lwów. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za ten dział Redakcya nie odpowiada.)

Telefon Nr. 308.

